№ 11 Warszawa, dnia 6 (18) Marca 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie	**rs. 1 k. 25.**
Półrocznie	**rs. 2 k. 50.**
Rocznie	**rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok Nr. 3.**

W tym jeszcze kwartale rozpoczniemy druk powieści p. t. **Walki życia. Właściciel huty żelaznej,** przez *Jerzego Ohnet*, przekład J. B., której obecnie dwudziesta wyszła edycya. Inna tegoż autora p. t. Sergiusz Panin uwieńczoną została przez akademią paryzką.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

IV.

— A ja panu powiadam — mówił prawnik do młodego mężczyzny w czarnem ubraniu, trzymając go za guzik — powiadam panu, że gospodarstwo nie jest tak złe i trudne jak panowie utrzymujecie. Ja sam zamyślam osiąść na wsi za jakie pięć lat, gdy więcej grosza naskrobię.

— Aby ten grosz jak najprzyjemniej utopić, odparł młody mężczyzna usiłując wejść z przedpokoju do salonu, w którym już dobrze mu znane obcasiki posłyszał.

Prawnik nie dał się tak łatwo zbić z toru. Pochwyciwszy za drugi guzik, bo tamten już się nieco rozluzował, stanął w poprzek korytarza.

— Za pozwoleniem panie dobrodzieju — zawołał — winienem panu duplikę. Powiadasz pan, że grosz w gospodarstwie ginie a ja przeciwnie twierdzę!

— Mówiłem tylko, że ludzie, którzy w innym zawodzie zrobili majątek, nie powinni tego zawodu zmieniać.

— A rozum od czego panie dobrodzieju... a praca i oszczędność... powiadam panu, że jeżeli gospodarstwo na wsi jest trudne, to tylko dlatego, że wy na wsi macie za wiele fantazyi! Ładne konie, karety, służba, polowania, gry w karty, nie mówiąc już nic o niezbędnych wojażach! Na to ziemia nie wystarczy.

— A ja znowu panu powiadam, że gdy pan wioskę kupisz to pani magnifika, była mecenasowa a dzisiaj obywatelka wiejska, pierwsza z całego powiatu, zapragnie jeżeli nie wojażu, to przynajmniej wód morskich!

— Być może — *honores mutant mores!* Zresztą do każdej nabytej rzeczy przywiązuje się najmocniej zgubna tradycya.

Młody mężczyzna byłby jeszcze długo musiał w ten sposób zabawiać się z nieubłaganym prawnikiem, gdyby w tej chwili nie były się drzwi salonu prawie same od siebie otworzyły. Otworzyła je mniej cierpliwa rączka Adeli, która teraz jak wschodząca jutrzenka pojawiła się na progu.

Piękny był to widok. Na jasnem tle światła zarysowała się wysmukła postać kobieca, a złote jej włosy spływały prawie z tem światłem. Ciemniejsze od włosów brwi podniosły się do góry z uśmiechem, otworzone usta miały właśnie w pogotowiu jakieś słodkie albo dowcipne słówka.

Prawnik ustąpił kilka kroków w tył, a na pierwszym planie stanął teraz młody mężczyzna. Mógł on liczyć najwięcej lat trzydzieści, a z postaci nie wyglądał wcale na bohatera bajrońskiego poematu. Był wzrostu średniego, piersi zdrowe okazywały człowieka, który świeżem powietrzem oddycha, a na rumianej twarzy malowała się pewna inteligentna energia. Słaby, ciemny zarost ocieniał tę twarz, której prawdziwą ozdobą były duże piwne oczy i kształtny nos naprzód wyskakujący. Czarne ubranie uwydatniało korzystnie tę postać.

— A!... pan Władysław!—ozwała się Adela. — Przepraszam, żem przerwała jakiś traktat o gospodarstwie, ale to już jest winą naszą, że często taką prozę przerywać musimy... Proszę!

I zrobiwszy lekki ruch ręką, cofnęła się do salonu.

Obaj weszli za nią.

Po wzajemnem powitaniu, ozwała się Adela:

— Zaraz na wstępie muszę tę prozę, o której panowie tak zacięcie rozmawialiście, zabarwić czemś poetyczniejszem. Otóż powiadam panu, panie Władysławie, że wybieram się z ciocią do Włoch, lądem i morzem!... Czyż nie jest to czystej wody poezya?

— Do Włoch! — powtórzył prawnik.

— Do Włoch — odpowiedziało echo od strony pana Władysława, który wydał się w tej chwili milczącym posągiem.

Obaj spojrzeli po sobie. Jeden drugiemu chciał zostawić prowadzenie dalszej rozmowy w tak trudnych warunkach. Pierwszy odważył się prawnik.

— Do Włoch... do Włoch... hm... — ozwał się, szukając palcami guzika, ale już na własnym surducie — do Włoch pojechać, to myśl prawdziwie rozkoszna! Ale Włochy... Włochy... mówią, że Włochy niezdrowe!

— Co pan mówisz! — zawołała ze śmiechem Adela. — Wszak Włochy z lasami cyprysu i pomarańczy, z niebem lazurowem, z zefirami wiejącemi od morza — to przecież raj klimatyczny dla wszystkich chorych!

— Miałem na myśli... kieszeń! — cicho odparł prawnik.

— Ach, znowu wracasz pan do prozy! Dajmy temu już pokój, bo to woda na młyn pana Władysława! Od kieszeni do buraków i uprawy kartofli niedaleko!... Czy widziałeś pan najnowsze fotografie moje, panie Władysławie, które wczoraj dostałam?... A dla pana — dodała zwrócona do prawnika — mam tutaj *une caûse célèbre!*

I położyła przed nim sporą broszurę.

Podczas gdy prawnik jednem okiem na karty, a drugiem zyzowatem w jakąś nieokreśloną przestrzeń patrzał, usiadła Adela przy oddalonym stoliku, aby panu Władysławowi rzeczone fotografie okazać i objaśnić.

Nie bardzo uważnym spektatorem był w tej chwili Władysław. Prawny doradzca, wyjazd do Włoch, a przedewszystkiem owa różowa tunika, która urocze wdzięki Adeli jeszcze więcej uwydatniała — wszystko to złożyło się na to, aby wprowadzić w roztargnienie największego pedanta.

Pan Władysław nie był wcale pedantem, tylko sąsiadem blizkim panny Adeli i właścicielem niebardzo wielkiej ale dobrze zagospodarowanej wioseczki. Przy młodych jeszcze latach i nie starem sercu był człowiekiem statecznym, a to, co w tej chwili widział i słyszał, nie zgadzało się jakoś z tem, o czem myślał i marzył. Nie wypływa ztąd jednak, aby był głębokim myślicielem, lub zagorzałym marzycielem. Nie myślał wyżej nad swój poziom a marzenia jego nie sięgały do gwiazd, tylko zatrzymywały się na tym dworku białym, który z okna jego widać było jak na dłoni. Dalej nie sięgał, a nawet białonogi kasztan jego tak był dobrze o tem poinformowany, że sam z polnej drogi zawracał do tego dworku. Pan Władysław sam najczęściej nie wiedział, jak stanął przed gankiem, a powitany serdecznie przez starego Stefana, już nie mógł się cofnąć. Szedł już wtedy naprzód i nie zatrzymywał się aż przed błękitnemi oczami Adeli, która z uśmiechem drobną rączkę do uścisku mu podała. I często ściskał pan Władysław tę rączkę, a przytem marzył i myślał o przeróżnych rzeczach, tylko nie o burakach i uprawie rzędowej.

Sytuacya była więc napozór łatwa i prosta. Zapowiedzi, ksiądz, ślub — oto główne akcesorya. I byłoby może na tem się skończyło, gdyby droga do szczęścia ludzkiego była tak prosta jak kolej żelazna. Ale droga taka wije się zazwyczaj wężykiem, przechodzi góry i doliny, musi przeskakiwać nieraz przez potok, a czasem zatrzymuje się nagle nad przepaścią, której niczem wypełnić nie można.

Otóż i przed panem Władysławem taka sama była droga. Dążąc do portu swego szczęścia napotkał najprzód na prawników i lichwiarzy. Oswoiwszy się z takiem towarzystwem, potrącił znowu o kogoś, który był dla niego straszniejszym od najstraszniejszego egzekutora zaległych podatków. Był to dalszy sąsiad, a bliższy może od niego sercu Adeli — pan Adolf. Nazywany po matce hrabią, uchodził w trzech powiatach za najpierwszego konkurenta. Wiele z tego powodu przebolał pan Władysław, czarne chwile jego życia dały się uczuć jako ekonomowi i dwóm arędarzom na karczmach. Częste wizytki pana Adolfa w białym dworku, zatruwały mu życie i przywodziły go nieraz do rozpaczy. A że w naturze nic nie ginie, czyli jak to mówią: nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło, otóż i te zmartwienia nie były dla pana Władysława kapitałem straconym. Wzmogły one jego afekta, a myśli jego i marzenia o Adeli zabarwiały się kolorytem coraz gorętszym.

W końcu runęła i ta przeszkoda. Pan Adolf nie lubiąc lichwiarzy i egzekutorów, tylko interesa czyste, cofnął się z zagrożonego dworku. Na wiadomość, że się gdzieindziej oświadczył, przybył szczęśliwy Władysław natychmiast, aby zająć opuszczone stanowisko i do upatrzonego objektu ostatni szturm przypuścić. Oddawna miał on już nadzieję zwycięztwa. Adela była dla niego uprzejma i z pewną radością witała go. Okazywała mu przyjaźń i przychylność, a jeszcze więcej widział w jej jasnych spojrzeniach, wyczytywał w tych uroczych uśmiechach... Brakowało tego tylko, aby to, co widział, potwierdziły słówka z tych ust różowych, które tak wdzięcznie składały się dla niego. A po te słówka właśnie przyjechał dzisiaj.

Otóż nowa przed nim przeszkoda! Podróż do Włoch! Co znaczy ta podróż? Czyż ma być balsamem na serce zranione po utracie bohatera skrytych marzeń?... Jaka może być inna tego przyczyna? może coś ukrytego wiąże się do tego projektu? Któż zbadał serce kobiece? któż odgadł, co się kryje na dnie jego?... Zkądże wreszcie nadeszły fundusze na tak kosztowną rozrywkę? Jakiż tego wszystkiego związek z obecnym prawnikiem?

Takie pytania nagabywały teraz nieszczęśliwego bohatera, przed którym zamiast odpowiedzi rozłożono album z fotografiami i otworzono z wdziękiem usta różowe, z których jednak żadne wyjaśniające słówko wyjść nie chciało.

Każdy przyzna, że położenie pana Władysława było bardzo trudne. Odpowiadać sobie na powyższe pytanie i to pod spojrzeniem tych oczu błękitnych, pod urokiem tych dołków cudownych, które jak błędne świecidełka przesuwały się po tej różowej twarzyczce... Jakże zebrać myśli swoje i w jeden punkt je skupić?

To też pan Władysław mógł tylko to uczynić, co każdy z czytelników w podobnem położeniu byłby uczynił — milczał. W milczeniu patrzał na przepyszne widoki gór i jezior szwajcarskich, w milczeniu słuchał kaskady słówek brylantowych a nawet w milczeniu znosił ostre pociski błękitnych oczu, które bez litości wpijały się w jego serce i tak już mocno poranione.

Wreszcie oprzytomniał, a odchrząknąwszy jak człowiek, który coś ważnego już postanowił, posunął się na fotelu i zaczął:

— Wszystko piękne i urocze... te góry, skały urwiste i przepaściste, ale przyznam się pani, że do tego wszystkiego jakoś mnie nie ciągnie. Wyznam szczerze, że wśród tej biesiady oka często przesuwał się przede mną mój domek z rozpoczętą nową facyatką... moja łączka z świeżo wybranem rowem... moje koniki kare wczoraj po raz pierwszy próbowane w zaprzęgu. . a w perspektywie widziałem także ten dworek biały... starego Stefana w czerwonej kamizelce i... i...

Tu pokraśniał cały na twarzy jak student przed zdaniem matury. Chciał dla równowagi zmysłów rozpiąć guzik od surduta ale ręką prawnika rozluzowany guzik odmówił posłuszeństwa.

Widok taki zakłopotanego konkurenta sprawił na Adeli jakieś nader miłe wrażenie. Na jej ustach pojawił się uśmiech wielce mu życzliwy, a błękitne oczy pokryły do połowy długie jedwabne rzęsy, aby pokonanego bohatera tak mocno nie ranić.

— Oszukiwałeś mnie pan dotąd, ozwała się z kaprysikiem na ustach, mówiłeś ciągle o burakach i turnipsie a tymczasem jesteś pan skończonym poetą. Miewasz wizye i umiesz tak pięknie je opisywać! Czemuż dotąd taiłeś się z tem przede mną?

Rzekłszy to Adela, przechyliła główkę i spojrzała na swego sąsiada z takim wyrazem, że nietylko tenże sąsiad ale i każdy czytelnik czułby się w tej chwili poetą.

— Masz pani słuszność—odparł Władysław — że mogę być poetą! Sam siebie nie znałem i dopiero natchnienie, które odbieramy od bogini, namaszcza nas na tę godność olimpijską!... A tą boginią...

— Nie kończ pan! Tu wobec tych ścian i siedzącego opodal mecenasa i innych prozaicznych dodatków, byłaby taka mowa zbyt banalną, a w niej przecież mieści się tyle poezyi!... Zupełnie inaczej brzmiałyby podobne słowa w zacieniu Colloseum lub na morzu!...

— Na morzu? — powtórzył z niepokojem Władysław i ściągnął do siebie nogi, jakby już czuł pod stopami fale słonej wody.

— Tak jest, na morzu! .. Wyobraź pan sobie bezkresną przestrzeń wody, pokarbowaną lekką falą, gdzieś tam w oddali błękitną odziane szatą góry i majaczące miasta... a przytem wyobraź sobie nad głową rozpięty szafir ze złocistem słońcem, białe chmurki pędzone wiatrem, w które wpatrzywszy się nie czujesz owego kołysania się rozkosznego, przypominającego dziecinne chwile życia, w których matka czuwa nad kolebką naszą...

Tu zaszkliło się coś w oczach Adeli, jakby łza na wspomnienia matki. Wyraz smutku i jakiegoś bólu otoczył nagle jej usta.

— Na prawdę, wrócić na chwilę choćby wspomnieniem do tych dni szczęśliwych — mówiła dalej z pewnem rozdrażnieniem — jest już rozkoszą! To czego potem kobieta doświadcza, podobne jest do owych kaprysów wiosny, która na przemian słońcem i deszczem nas uracza!

Skryte westchnienie podniosło jej pierś. Władysław patrzał na nią z uwagą szukając powodu tak smutnego nastroju. Czyż miałby takim powodem być rzeczywiście obraz kolebki dziecinnej i czuwającej nad nią matki?

Odgadła zapewne te myśli Władysława Adela, bo zmieniając nagle wyraz twarzy, dodała:

— W takiej chwili, w tem zapomnieniu wszystkiego, co za sobą zostawiamy, jakże uroczo brzmia-

łyby dla nas owe poetyczne słowa, których próbkę słyszałam przed chwilą od pana? Może i widok fal morskich i nieba z białemi chmurkami byłyby piękniejsze.

Władysław spojrzał przed siebie z pewnym smutkiem. Mimo mocnego natężenia oczu nie ujrzał ani morza ani skał dzikich. Opodal siedział tylko mecenas i przewracał kartki broszury, a szelest tych kartek i brzęk talerzy, który z drugiego pokoju dochodził, nie był wcale podobnym do wiatru, który po nad fale morskie przelata.

— Żądasz pani ode mnie tego, co jest nad moje siły — odparł z widocznym smutkiem. — Nie umiem wyobrazić sobie morza z tem wszystkiem, co do niego należy. Obawiam się, że to trudne dla mnie zadanie kryje w sobie okrutny pocisk, który zabija!

— Okrutny pocisk, który zabija! — powtórzyła z uśmiechem Adela — widzisz pan, jak niezdarnie wygląda ten frazes wśród tego prozaicznego otoczenia! Oto mecenas nudzi się tam nad książką i strzyże uchem czy rychło stary Stefan do stołu zaprosi! Ciocia nawołuje właśnie cielęta, a nawet gniewa się na służącę wcale niepoetycznie!... Na morzu, śród fal i wichru brzmiałyby te słowa inaczej!

Wyprostował się Władysław.

— Widzę — ozwał się — że pani chcesz w żart obrócić to, co mnie w tej chwili nastraja do rozmowy bardzo poważnej. Chciałbym, abyś pani z równą powagą chciała mi odpowiedzieć...

— Odpowiedź moja mogłaby wypaść w tej chwili inaczej, niżeli pan sobie życzysz... Ale wśród innych przyjaźniejszych okoliczności... naprzykład... na morzu... wśród fal...

— Pani nie wychodzisz ze swojej roli, a to napełnia mnie smutkiem. Nie mam bowiem nic smutniejszego, jak rozstawać się z tem, co od lat kilku było dla nas najmilszem marzeniem! A czemże jest dla nas całe życie bez owych marzeń?

Roześmiała się rozkosznie Adela.

— Ślicznie, cudownie pan powiedziałeś! Takich słów nigdy jeszcze nie słyszałam od pana! A cóżby było dopiero, gdybym na chwiejącym się okręcie wśród szeptu fal i zefirów usłyszała podobne słowa?

Władysław milczał czas niejaki. Adela patrzała na niego z pewnym uśmiechem, który stał na granicy gorzkiej ironii i dziecięcego kaprysu...

— Wyobraźnia—rzekł po chwili Władysław—unosi panią zbyt daleko, a ja zdążyć nie mogę. Zresztą nie wiem, czy pani oddalasz się tylko ode mnie ot tak dla fantazyi, czy tez gonisz jakie urojone widziadła?

— Jakby to inaczej wypadła odpowiedź moja— na morzu!

— Zbywasz mnie pani żartami!

— Możebym nie była usposobiona do żartów na falach morskich, gdzie serca ludzkie tak prędko zbliżają się do siebie...

— W słowach tych czuć szyderstwo...

— Szydzimy zazwyczaj wtedy, gdy nas już nudzi życie powszednie!

Władysław powstał z fotelu i przeszedł się po pokoju. Czuł, że dalsza rozmowa z Adelą przechodzi jego siły. Zatrzymał się przed oknem, na którem stały kwiatki w wazonkach, machinalnie sięgnął po jakiś kwiatek czerwony i uszczkął go...

— Widzę — ozwała się z uśmiechem Adela, że pan chcesz próbować rozmowy kwiatów, gdy go rozmowa ustna znudziła.

Zbliżył się do niej Władysław.

— Przyjmując ten kwiatek — rzekł z uśmiechem — dasz mi pani dowód, że jesteś mniej okrutną od słów swoich, od swego uśmiechu i od tych oczu nielitościwych...

— Postęp wielki! Mówisz pan teraz ze swobodą, jakiej przed chwilą nie było widać. Gdyby tylko do tego kwiatka, który, powiedziawszy nawiasem nie ma woni, dodać choćby woń morza i oświetlić go odblaskiem sinych skał dalekiego brzegu...

— W braku zaś tego wszystkiego... w braku kapeli fal morskich i... bałwanów...

Prawnik z drugiego kąta salonu spojrzał tutaj ciekawie na mówiących.

— Niechże kwiatek ten ginie jak giną często najszlachetniejsze nasze marzenia.

Zgniótł kwiatek i rzucił na ziemię nie daleko małych pantofelków Adeli.

— Zupa już wystyga — zawołał w tej chwili Stefan, stając na progu.

— Proszę, panie mecenasie — ozwała się wstając Adela i po kwiatku przeszła do obiadu.

Władysławowi przesłała tylko zaproszenie skinieniem ręki.

(D. c. n.)

DO DZIEWCZĘCIA.

Pamiętaj dziewczę, nie bądź wesoła,
W oczach twych ukryj odbłysk swobody,
Nie nuć piosenki, nie patrz dokoła,
Z jasnym uśmiechem szczęścia, pogody;
Bo twa wesołość i humor złoty,
Zjedna ci zaraz zarzut *pustoty*.

Lecz strzeż się smutku zatrutych sieci,
Bo z pierwszą chmurką na twojem czole,
Z pierwszem westchnieniem co z ust uleci,
Z pierwszą twą skargą, — już w całem kole,
Szeptać wciąż będą w wieczór i z rana,
Że — smutna biedna, bo — *zakochana*.

Nie probój również współczucia łezką
Witać biednego. Na oddźwięk nędzy
I jęk niedoli, — z minką królewską
Rzuć zimno, — sporą kwotę pieniędzy;
Lecz nie bądź nigdy tkliwa i słodka,
Bo cię wnet zarzut *przesady* spotka.

Jeśli sprobujesz śledzić z zapałem,
Postępy wiedzy, prawa nauki,
Ukochasz ludzkość i z ogniem trwałym
Czcić będziesz wiernie poezyą, sztuki,
Wtedyś zgubiona! — Bo w jednej chwili,
Mianem *sawantki* cię naznaczyli.

A gdy sprobujesz zaraz za młodu,
Krążyć już tylko wśród swoich grona,
Doglądać domu, kuchni, ogrodu,
Patrzeć czy pieczeń nieprzypalona,
O, — wtedy każdy który cię spotka
Powie, żeś dobra, ale *idyotka*.

Ileż to gromów na głowę biedną:
Płocha, przasadna, lub zakochana,
Żeby choć znaleźć zaletę jedną,
Sawantka, gąska, egzaltowana;
Co tylko zrobisz zawsze i wszędzie
Ktoś z twych *„serdecznych”* ganić cię będzie.

Więc dziewczę nie goń za pochwał marą,
Lecz zawsze wierna własnym zasadom,
Kieruj się prawdą, sercem i wiarą,
Twych ideałów nie rzuć ze zdradą,
One ci pewno dadzą w nagrodę
Spokój, — tę wielką życia osłodę.

A ja ci w zamian powiem cichutko,
Że wszystkich nagan zatrute strzały,
Stąd się w udziale tobie dostały,
Żeś się kłaniała nie dość niziutko
Wielkim osobom, z małego świata,
W którym twe pierwsze płynęły lata.

Natalia Krz....

Dnia 6 marca 1882 r.

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Gdy rowieśnice, słysząc tę oczywistą (jak im było dobrze wiadomo) nieprawdę, wyraziły pewną wątpliwość lub hałaśliwie napadły na nią (jak to między dziećmi bywa) za „kłamstwo”, Pałusia uśmiechała się jakoś dziwnie i utkwiwszy w dal duże swe szafirowe oczęta, powtarzała w zamyśleniu:

— Było to, było, ale gdzie i kiedy — sama tego nie wiem. A może jeszcze nie było, ale będzie, a mnie zdaje się, że już było i przeszło...

Dziewczęta wiejskie niebardzo rozumiały tę mowę i dziwnie spoglądały na towarzyszkę; niektóre nawet pokazywały palcem na czoło, dając tem do zrozumienia, że Pałusia może niecałkiem jest przy zdrowych zmysłach.

A jednak nietylko że nie była ona waryatką, ale według mnie, bardzo rozumną dziewczynką...

Gdy dorosła, umiała także pogodzić się ze swoim losem i znosić obojętnie upośledzenie i pewne lekceważenie, które we wsi zwykle uboższe dziewczęta spotyka. Gdy nie mogła udać się z innemi na zabawę lub na wesele, jużto dla braku odpowiedniego ubioru, już to dlatego, że jej nie zaproszono lub wyłączono, jużto wreszcie dla tego, że potrzebowała do późna w chacie pracować a wczesnym rankiem wyjść na robotę, mawiała zwykle do matki:

— Matulu, „mała bieda, krótki żal”. Jutro, jak dowiem się, co tam było na weselu, będzie mi się zdawało, że i ja tym byłam, bo i innym dziewczynom „nic nie przybędzie” z tego, że tam były. Ja za to, jak napracuję się i wyśpię dobrze, jutro rześko ruszę do roboty i w polu tak śpiewać będę, że aż „w kościołku zadzwoni”. A one — będą nieswoje, jak „słone zające” (wyrażenie ludowe, oznaczające niewyspanych) ani do roboty, „ani do tańca, ani do rożańca”. Wielkie mi rzeczy, że tam się naskaczą i najedzą, a jeżeli która ma lepszą sukienkę, to jej w tańcu ją oberwą i zniszczą. Jeszcze i wódczyska muszą się napić, a to nawet dziewczynom nieładnie”.

Tak uczyła się wiejska filozofka trudnej i ważnej sztuki godzenia się ze swoim losem. Podobno później dobrze poszła za mąż za uczciwego rzemieślnika do miasteczka i żyje dotąd szczęśli-

wie. A tej mądrości i tej rady, którą dałem Leandziowi — zakończył skromnie Ławrynowicz — nauczyłem się widocznie od małej Pałusi.

Inym razem mała Malwinka dostała od kogoś do każdej rączki po dwa jabłka, burdzo do siebie podobne, ale z tą przestrogą, że jedna para jest lepsza, dojrzalsza i słodsza, a druga nietyle dobra i kwaskowata.

Malwinka chciała skorzystać z tej różnicy, ażeby naprzód spożyć lepsze, a gorsze zostawić na później, tak bowiem zwykle postępują dzieci, a przeciwnie dorośli — ale zapomniała, które to jabłka były lepsze, a które gorsze i byłaby się rozpłakała gdyby nie przyszedł jej z pomocą Ławrynowicz.

— Taka mała panienka, rzekł przytem, nie może zjeść naraz więcej nad jedno jabłko, tak że istotnie trzeba już dobrze wybrać; ale gdyby to były nie jabłka, ale np. czereśnie lub śliwki, to możnaby nie zadawać sobie kłopotu z wybieraniem lepszych i gorszych, ale zjeść wszystkie w jakimkolwiek porządku. A przytem można sobie za każdym razem wyobrażać, że się trafiło na najlepszą, a jeżeli pokaże się, że następująca jest lepsza, tamta zaś była gorszą, to ta druga tem lepiej smakować będzie wskutek tej pomyłki i znowu można myśléć, że ta już była najlepsza i t. d. Tym sposobem, uważając to, co w danej chwili mamy, za dobre i najlepsze, mniej będziemy narażeni na zawód w przyszłości, a nawet doznamy tem większego zadowolenia, gdy nas coś lepszego spotka. Dla smakoszów zaś i łakotnisiów będzie rzeczą bardzo pożyteczną, gdy lepsze przysmaki mieszać będą z gorszemi i wszystkie razem spożywać, w przekonaniu, że wszystkie są lepsze od dalszych.

Będąc bardzo młodym — ciągnął dzlej Ławrynowicz — gdy jeszcze służyłem w fabryce pasów litych w Słucku, napatrzyłem się nowej wtedy mody palenia cygar i nauczyłem się sam tego brzydkiego nałogu. Porzuciłem go później i teraz już tylko zażywam tabaczkę, co i zdrowiej i taniej i w starym niezbyt razi (tu zażył ze swej „brzozówki”). Otóż cygara były wtedy drogie, a pieniądze bywały u mnie rzadko. Nie było wówczas żadnych ograniczeń co do wyrobu cygar; pamiętam też, że na Litwie w wielu miejscach uprawiano tytuń i wyrabiano cygara, czasem niezłe na własny użytek i na sprzedaż. W Słucku przy ulicy Mostowej wyrabiał cygara poczciwy żydek Pietruszka: pod oknem w lecie otwartem siedziało trzech robotników, zwijających cygara, które natychmiast podchodzącym pod okno amatorom sprzedawano.

Mówią wprawdzie, że takie świeże i wilgotne cygara nie są dobre, ale palacze małomiejscy nie wiele na to zważali, a zwłaszcza taki jak ja chłopak, który chwycił się palenia poprostu z głupiego naśladowania starszych, czyli małpiarstwa. Nic i to nie znaczyło, że w cygarach Pietruszki, jak twierdzili niektórzy, czasem nie było wcale liści tytuniowych, ale miejsce ich zastępowały pewne rośliny ogrodowe, wprawdzie nie pietruszka, ale blizko z nią sąsiadujące kapusta i buraki... Zawsze jednak najgorszych cygar para kosztowała 5 groszy, a lepsze były po 4 grosze sztuka. Pięć groszy! Toć to pieniądz wówczas nielada. A nawet na pozór i na wagę była to znaczna kwota, gdyż składała się aż z pięciu sztuk miedzianych wielkości srebrnej pięciozłotówki. A co to można było wtedy kupić za pięć groszy, kiedy funt chleba był po groszu, obwarzanki „piwne” sprzedawał „Mosieczko” po dwa za grosz, kwarta wybornego piwa zwyczajnego (dziś już takiego nie ma) kosztowała cztery grosze, tyleż płacono za funt żywego szczupaka, tyleż za kwartę orzechów, a jabłka i gruszki tylko nadzwyczajnej wielkości i najlepszych gatunków (jabłka malinowe, gruszki bery) mogły kosztować po groszu, zwykle zaś, przy kupnie tych owoców, zapytywano: „ile za grosz?” Trudno też było dużo wydawać na cygara i w mojej „kiesce paciorkowej” rzadko bywało kilka miedziaków. A jednak — o głupoto pachołęca—nie wyrzekłem się tego niedorzecznego nałogu, jak gdyby to była jaka nieodzowna potrzeba. Radziłem tedy sobie tym sposobem, że kupowałem u Pietruszki za tanie pieniądze niepotrzebne już odpadki liści tytuniowych i napatrzywszy się przez okno na „fabrykę”, sam sobie potem skręcałem cygara z papieru, słomy, liści brzozowych i t. p., owijając je tylko po wierzchu liściem z owych odpadków. Jaki tam musiał być smak i zapach tych cygar — można łatwo odgadnąć, ale to dla mnie było wszystko jedno. Kryłem się też z paleniem w swojej izdebce, ale pomimo to dyrektor fabryki wytargał mnie kilka razy porządnie za „czub” i za uszy, gdy go zaleciał duszący odór moich cygar. Gdy wreszcie od palenia takiego paskudztwa czasem miewałem taki ból i szczypanie w języku, że po całych dniach nic jeść i mówić nie mogłem, poznałem, że niepodobna poprzestać na cygarach własnej fabryki. Kupowałem więc czasem u pietruszki „prawdziwe” cygara, ale mieszałem je ze swojemi i wyciągałem później, zamknąwszy oczy, z mocnem postanowieniem wypalenia tego, które mi się trafi, czy będzie to moje własne czy Pietruszki. Dotrzymywałem też zawsze tego postanowienia i czy musiałem wypalić cygaro własnego wyrobu czy Pietruszki, zawsze spodziewałem się, że za następnym razem wyciągnę prawdziwe cygaro, a i sama stałość w spełnieniu powziętego postanowienia sprawiała mi pewne zadowolnienie. Okazałem więc zawsze pewną moc charakteru, chociaż w rzeczy błahej i nagannej. Ta sama moc charakteru, nie chwaląc się posłużyła mi potem do zupełnego zaniechania cygar: uczyniłem to, pamiętam, na przekór komuś ze znajomych, który utrzymywał, że od tego nałogu odzwyczaić się nie można; ja pokazałem i jemu i sobie, że można i sam na tem wyszedłem najlepiej. Zaprzestałem zaś palić już wtedy, gdy byłem panem siebie i nikt nie mógł mi tego bronić. Tak to często bywa — zakończzł Ławrynowicz — że dzieci z przekory i głupoty, potajemnie czynią coś takiego, czego im zabroniono, a gdy dorosną, widzą sami, jak to rzecz brzydka i szkodliwa i bez żalu ją porzucają.”

W tych i innych anegdotkach i opowiadaniach Ławrynowicza uderzało mnie i to także, co i w zwykłem obejściu się stanowiło, jak powiedziałem wyżej, cechę tego człowieka, że albo nigdy nie mówił o sobie, albo tylko z naganą o błędach swego dzieciństwa. Mając taki wzór przed oczami, nabrałem wstrętu do samochwalstwa, a może wpłynęło to także korzystnie na złagodzenie i umiarkowanie wrodzonego bodaj każdemu człowiekowi egoizmu. Cały zresztą tryb wychowania domowego składał się na to, gdyż nigdy nas zbyt nie pieszczono i nie chwalono, nigdy nie dogadzano bezwzględnie i nie popisywano się nami przed gośćmi to jest unikano tego wszystkiego, co zwykle, jak to codzień widzimy, wyrabia egoistów, rozkosznisiów, samochwalców i pasożytów społeczeństwu szkodliwych.

Przydłuższe to wspomnienie o Ławrynowiczu zakończę wyjątkiem z jego listu, pisanego do naszego dziadka, a zawierające poglądy tego samouczka — praktyka na sztukę lekarską. List ten wpadł mi do rąk o wiele lat później, gdy już stary Ławrynowicz spoczywał oddawna na cmentarzu „u Iryny”.

„Cała przyroda — pisze Ławrynowicz — przepełnioną jest najwyborniejszemi środkami na wszelkie słabości ludzkie: w roślinach i minerałach są tam niewątpliwie najskuteczniejsze lekarstwa przeciwko wszystkim bez wyjątku chorobom. Chodzi tylko o wyszukanie tych leków, należyte ich przyrządzanie i stosowne zażywanie, i gdyby to wszystko było łatwem, ludzie mogliby żyć po lat kilkaset. Ale odkrycia w tej sferze niełatwo przychodzą człowiekowi: potrzebowałby do tego chyba wyższych z nieba skazówek; a i tak wypada się dziwić, że własnym przemysłem i pracą mozolną, przypadkiem lub cudownym instynktem—tym samym, z którym chory pies odgaduje pomocną sobie trawę — umysł ludzki potrafił wykryć tyle środków leczniczych. Ów instynkt cudowny może jest właśnie skazówką, z nieba pochodzącą, choć (zapewne za grzechy nasze) niewyraźną i słabą. Niektóry ludzie, jak prostaczkowie wiele z naturą obcujący, pasterze, owczarze, pustelnicy i samotnicy indyjscy, mogli i mogą posiadać ów instynkt w wyższym stopniu i dokonać szczęśliwszych odkryć leczniczych; nie ma tu więc czemu, bardzo się dziwić, ani też możności owych *czarów* i cudownych uleczeń zaprzeczać. My bowiem teraz szermujemy głównie wyrazami i zdaje się nam, że wyrzuciwszy ze słownika wyrazy *czary* i *cudowność*, tem samem już wytłomaczyliśmy wszystko na drodze rozumowej. W gruncie zaś rzeczy, zamiast dawnych wy...zów, urobiliśmy nowe, a rzecz sama, chociaż inaczej nazwana, pozostała po dawnemu niewytłomaczoną. Śmiejemy się z cudownych ziół i leków dawnych czarownic, a czy np. działanie chininy nie jest także cudownem? Czy wytłomaczono należycie, *dlaczego* to właśnie chinina jest tak skuteczną przeciw febrze, czy wyjaśniono wszystkie zmiany w organizmie, które to lekarstwo sprowadza, czy wykazano przyczyny tego leczniczego działania i całą istotę uzdrawiającej siły lekarstwa? Bynajmniej: lekarz i naturalista odpowiadają, że skuteczność chininy została stwierdzoną *doświadczeniem*, że *przekonano się* o tem i koniec; dalej umysł lekarza i naturalisty nie sięga i z wszelkiej cudowności się śmieje. Ależ przecie zupełnie tak samo starożytna czarownica niejednokrotnem *doświadczeniem* przekonała się o skuteczności swoich leków; tylko ludzie jej spółcześni na tem nie poprzestawali, ale chcieli wiedzieć *dlaczego* te zioła pomagają; nie mogąc zaś dać na to, ani od samej czarownicy dostać zadawalniającej odpowiedzi, powiedzieli sobie, że to *czary*, *cuda* to jest rzecz *niedocieczona*, wychodząca ponad zokres nauki i pojęcia. A wieleż to rzeczy dziś jeszcze przewyższa zakres rozumu ludzkiego i badań naukowych? Czyż to już wyjaśnić zdołamy wszystko? Starożytni przypisywali cudowny i nadprzyrodzony początek piorunom; dziś naturalista, słysząc lub czytając o tem, pogardliwie wzrusza ramionami i woła: „wszk to tylko *elektryczność!*” A czy wie on, co to takiego elektryczność? — niebardzo. Dawniej więc nazywano *gromem boskim* to co dziś nazywamy *wynikiem elektryczności* — różnica w nazwach, ale rzecz pozostała zarówno tajemniczą. Nie wiem czy potrafiłem dobrze i jasno wyrazić myśl swoją (bom ja nie żaden filozof), ale nieraz mi się zdaje, że najzawziętsze spory polegają częstokroć na nieporozumieniu o wyrazy, gdy jeden nazywa pewną rzecz jednym wyrazem, a drugi — innym, a obydwa upierają się i pragną swoją nazwę przeciwnikowi narzucić.

Dużo dla medycyny i wogóle dla zdrowia ludzkiego uczyniły nauki, ale najważniejsze i najdawniejsze odkrycia nie są naukowe, lecz jakby cudowne, instynktowe. Nieraz siedząc przy obiedzie, albo też tylko pijąc kieliszek wina lub trzymając w ręku kawał chleba, rozmyślam nad cudownym instynktem ludzkim, który wykrył mu wszystkie najpożywniejsze pokarmy.

Jakim sposobem człowiek — i to w czasach niezmiernie odległych, jak tylko sięga tradycya historyczna — z pomiędzy tysiąców roślin, i większych i trwalszych i okazalszych, potrafił wykryć kilka gatunków trawy i dojść do umiejętności wyrabiania z niej najlepszego pokarmu — chleba? Dopiero po tysiącach wieków chemia potwierdziła instynktowy ów wynalazek ludzi nawpół dzikich, uznawszy wysoką wartość pożywną chleba. To samo stosuje się do wina i innych pokarmów i napojów.

Lecznicze bogactwa przyrody mało pomagają w chorobach ludzkich nietylko dla niedokładnej naszej umiejętności w ich odszukaniu i stosownem zużytkowaniu, ale także i dlatego, że sami wytwarzamy sobie choroby i zabijamy się dobrowolnie. Zdobycze nowszego postępu i cywilizacyi są niewątpliwie, po części wielkie i ważne; ale że każde dobro potrzeba okupić ofiarą, że siły przyrody za swe ujarzmienie wymagają ofiar, ludzkich, jak morze, które i dziś jeszcze za prawo pływania po niem pochłania jeden okręt na dziesięć, tak i większe dziś wygody i przyjemności życia musimy opłacać zdrowiem i samem życiem. Zabijamy się i trujemy pracą umysłową, tańcami, tytuniem, wódką, kawą, wykwintnem i nadmiernem jedzeniem, że nie mówię już o chorobach i śmiertelności wskutek wojen, nędzy, niedostatku i złych warunków miejscowych.

A jednak cudowną jest siła lecznicza ciała ludzkiego, owa „siła żywotna", którą wyśmiewają dziś także niektórzy. Ona to, ta siła tajemnicza, sprawia, że skaleczony palec goi się sam przez się, gdyż bez tej siły lada skaleczenie wymagałoby silnych lekarstw i groziłoby śmiercią, szerząc rozstrój i zepsucie, jak uszkodzenie lada kółka w zegarku. Z tą siłą musi rachować się lekarz, a raczej powinien być tylko jej pomocnikiem i sługą. Lekarstwo bowiem choroby nie leczy, ale tylko usuwa, ile możności, przeszkody, stojące na zawadzie sile leczniczej. Gdzie ta ostatnia jest osłabioną, tam same lekarstwa nic nie pomogą. A zdarza się również, że lekarstwo, pomagając przeciwko jednej chorobie, pozostawia w ciele ludzkiem zaród innej choroby lub ułatwia jej wybuch, a te jego skutki niezawsze są prędkie, niezawsze widoczne i rzadko mogą być rozpoznane.

Utrudnia to poznanie choroby i zbadanie jej przyczyn...

* * *

(*D. c. n.*)

Do Emilii z N*** W***

Kto błądzi myśli szałem rzuca się w pokutę,
Kto wątpi — kładzie ufność w miłosierdzia sile,
Kto nie wierzy — ma jeszcze nawrócenia chwile,
Kto chłodny — w młodych pieśni nie bawi się nutę.

Z czterech smutnych faz życia jam nie dotknął [żadnej,
W dziale serca zachwytów, myśli zdrowych przędzy,
Chociaż widziałem w świecie złoto obok nędzy,
Starość obok młodości, chłód uczuć szkaradny.

I jam serca nie zmienił — bom się zrodził młody,
Dusza moja z wiosennej utkana zieleni,
Wyszła w świat miłująca z matczynej zagrody,
I do skończenia życia już się nie przemieni,
Bo słowo choć języcznej użyje swobody,
Na to dane by światło nieciło wśród cieni.

Lutnista.

KORESPONDENCYA
ZE LWOWA.

Bal Mickiewiczowski.—Książki, odczyty, koncerty. — Nikodem Biernacki. — Towarzystwa. — *Wiece* rękodzielników i przemysłowców. — Obudzenie między niemi nowego życia. — Zasługi *Spójni*, *Rodziny* i Zarządu *Muzeum Przemysłowego*. — *Wystawa wyrobów drzewnych i koszykarskich*. — *Wystawa krajowa* w Przemyślu.

Jak zapowiedziałem, dwa tylko publiczne bale rzeczywiście się odbyły. Szczególniej powiódł się bal na dochód pomnika Mickiewicza. Sto czterdzieści par stanęło do mazura w sali ozdobionej kwiatami, śród których bielało popiersie naszego wieszcza. Nawet jakaś ochoczość, niezwykła we Lwowie, ożywiała zebranie, które zwolna dało się porywać balowemu upojeniu. Te ogromne lustra przedzielone pilastrami i kępami zieleni, te potoki światła, te kaskady dźwięków spadających z galeryi, gwar gorączkowo przesyconych słów, szelest jedwabi, blask drogich kamieni i jeszcze silniejszy ogień strzelający z błękitnych lub czarnych oczu, ta gra mieniących się barw, migających warkoczy, gaz, koronek, ten wir przelatających par jakby gnanych burzą, ten zamęt, ruch, szum, war podnieca wszystkie władze, drażni wszystkie nerwy, umysły, pędzi krew do serca i twarzy, tętna biją gwałtownie; tysiące wrażeń mija, porywa, odurza, jakieś upojenie owłada duszą tak, że się zdaje człowiekowi, iż przebywa jakiś czarowny sen w którym gromadzą się naraz i na jednem miejscu wszystkie rozkosze życia! Czemuż ten sen trwa tak krótko, czemu tak krótko trwa i ta pora życia w której pragnie się takich obrazów i wzruszeń! My starzy widzimy tylko tę stronę balu, która odstraszyć może: długie czuwanie, znużenie, goroco, długie stanie pod ścianą, nudne rozmowy ze staruszkami, doleganie fraka i obuwia, niebezpieczeństwo zaziębienia się jadąc do domu, i *le lendemain du bal*, tak przykry dla wszystkich a szczególniej dla tych, co się męczyli przez noc całą, a nie bawili.

Bal przyniósł blizko 2,000 złr. i to, pominąwszy zapalenia opłucnej i katary, jest jedynym poważnym wynikiem tańczującej naszej szczodrobliwości. Kusiłoby mnie coś o naszym sposobie czynienia dobrze powiedzieć, lecz są ważniejsze rzeczy. Oto dla pań naszych wyszedł III i IV zeszyt *Wzorów przemysłu domowego na Rusi*. Znajdziecie tam, szanowne czytelniczki, ogromne mnóstwo motywów do kilimków i kobierców, które mogą ozdobić wasze salony. *W Bibliotece Polskiej* Gubrynowicza i Shmidta ukazały się *Pamiętniki Kitowicza*, zestawione i wydane przez Władysława Zawadzkiego. Rzecz cenna. Dla amatorskich przedstawień zaleca się *Gałązka heliotropu*, El...ly'ego. Miluchny obrazek a wiersz pisany przez Asnyka, cóż więcej chcecie? Trzeba wspomnieć *Wandę* libreto ułożone przez p. Władysława Bełzę, do którego muzykę napisał p. H. Jarecki. Wyczekujemy niecierpliwie przedstawienia tej nowej opery. P. Włodzimierz Zagórski, znany u nas z pism humorystycznych pod nazwą *Chochlika*, wydał u Altenberga dwa tomiki zebranych z różnych czasopism swoich poezyj. I-szy tom nosi tytuł: *O zmierzchu i świcie* i zawiera satyry polityczne. II-gi zaś zawiera *Piosnki i żarty* jak to zapowiada tytuł. Gdyby nie versabilitas autora, co się i w utworach odbija, należałoby wysoko cenić jego talent. Jeżeli do tych publikacyi dodam przekład *Historyj Paryżanki* Oktawa Feuillet'a, to już i wyczerpałem listę dzieł wydanych u nas przez 2 miesiące.

Ukazał się przytem nowy dziennik: *Premysłowiec*, ale z pierwszego numeru nic wnioskować nie można.

Odczytów ilość niezmierna. W seryi odczytów Towarzystwa pedagogicznego musimy podnieść bardzo zajmujący wykład D-ra Józefa Zulińskiego *o tak zwanych roślinach mięsożernych*. Zamiast bawić się w klasyfikacyą i ogólniki, prof. Zuliński na okazach zasuszonych i modelach oparł swoją rozprawę i wyczerpnął przedmiot, dając pojęcie dokładne o ciekawych a mało znanych u nas roślinach. *Tow. Politechniczne* zapowiada sześć odczytów, ale co najwięcej miasto porusza, to szereg odczytów urzędowych przez młodzież akademicką na dochód pomnika Mickiewicza, a w których ma przyjąć udział *Deotyma!* Poetka nasza może być pewna, iż dozna serdecznego przyjęcia.

Teatr... lecz o Ryczywole, zamilczeć wolę. Bardzo nam wielką sprawił przyjemność p. Nikodem Biernacki. Urodzony w naszej prowincyi, już około 1860 roku, dał się poznać jako znakomity skrzypek, a jak był ceniony dość przeczytać wiersz do niego napisany przez Mieczysława Romanowskiego. Zostawszy skrzypkiem nadwornym króla szwedzkiego, p. Nikodem Biernacki długi czas przebywał na obczyźnie i dopiero przed dwoma tygodniami przybył do kraju dla odwiedzenia rodziny. Przejazdem we Lwowie dał koncert, którym nieznawców i znawców zachwycił. Obok bowiem wysokiej techniki, takim gra jego odznacza się uczuciem iż rzadko który ze znanych dziś wirtuozów mógłby iść w porównanie. Inne znakomitości muzyczne jak Bülow, Sarassata, kwartet wiedeński, zapowiadały przyjazd swój, który w następstwie odwołany został. Nic więc dziwnego, że koncerty naszego *Towarzystwa muzycznego* cieszą się niezwykłem powodzeniem. Rzecz wszakże szczególna że w karnawał, porze poświęconej zabawie i przyjemnościom, najmniej prawie o sztuce i rozkoszach jakie ona daje, myślimy. Toż i w tym roku na czas trwania zapust przypadły walne zgromadzenia różnych towarzystw, jak *politechnicznego*, *kredytowego*, *gospodarskiego*, *zaliczkowych*, *wiec* rękodzielników i przemysłowców a nawet zjazd rabinów, który się odbył w zeszłym miesiącu. *Wiec* rękodzielników ma to znaczenie dla naszej prowincyi, że okazuje pewien ruch umysłowy śród klasy, która dotąd znaku życia nie dawała. Drobny przemysł i rzemiosła przygnębione fabrycznemi wyrobami niemieckiemi, zubożone lichwą, popadły w nędzę, potem w ciemnotę i demoralizacyą straszną. Wyborny to grunt dla socyalistycznych teoryjek i knowań. Dzięki Bogu jak w innych prowincyach, tak i w Galicyi przewrotne zasady napotykają na opór nawet ciemnych warstw narodu, pomimo, że rządowi ani na myśl nie przyjdzie dopomódz słowiańskim rzemieślnikom i prze-

mysłowcom. Dopiero teraz coś tam u góry zamierzają. Żeby więc popchnąć sfery rządzące do uczynienia czegoś dla rękodzielnictwa, do przedłożenia ciałom ustawodawczym projektów do praw zgodniejszych ze stanem rzeczy, nasi rzemieślnicy zaczynają się gromadzić i naradzać nad własnem położeniem. „*Spójnia*”, to zacne stowarzyszenie, które zawsze wspominam i wspominać muszę ile razy o przemyśle lub rzemiosłach jest mowa, z drugiej strony „*Rodzina*” obudziły drzemiące dotąd w nędzy warstwy rękodzielników. Dotąd odbyli oni 4 wiece: we Lwowie, Stanisławowie, Krakowie i Tarnowie. Potrzeba łączności oświaty, fachowego uzdolnienia coraz widoczniejsza staje się tym opuszczonym klasom roboczym i kto wie czy nie patrzymy na pierwsze kroki przyszłego *tiers état*. Otóż taki *stan średni* ukształcony a oparty na spółkach i stowarzyszeniach, stanowiłby nietylko wielką siłę ekonomiczną i ochronę od zalewu obcych wyrobów a więc bogactwo krajowe, ale tamę broniącą przystępu pauperyzmowi czyli przewrotowi społecznemu.

Nieocenione są więc zasługi „*Rodziny*” i „*Spójni*”, które specyalny wytknęły sobie cel podnieść przemysł i rzemiosło krajowe. Niemniej zasłużony jest *Zarząd Muzeum Przemysłowego* we Lwowie. Zdobywszy sobie ogólny poklask za zeszłoroczną *Wytsawę robót kobiecych*, zarząd Muzeum nie usnął na wawrzynach. W jesieni tego roku odbędzie się przygotowana jego staraniem *Wystawa robót z drzewa i koszykarskich*. Program jest obszerny, obejmuje bowiem przedmioty od umeblowania do sprzętów wyrobu domowego jak łyżki i t. p. Pewną jest rzeczą iż wystawa powiedzie się najzupełniej i przyniesie olbrzymią korzyść krajowi a przyczyni się do wlania w nas największej wiary w siebie, w nasze zdolności i naszą pracę.

Obok tego przygotowuje się *Wystawa krajowa* w Przemyślu. Jeżeli lat temu kilka tak świetne miała powodzenie lwowska wystawa, która właściwie dopiero próbą była, jeżeli tak cenne wydała owoce, cóż mówić o tej która z przeświadczeniem o wyniku urządzi się w październiku. Zobaczymy przytem czy i jaki Galicya pod względem przemysłu uczyniła postęp od lat 5. A że i Przemyśl zyska, że się może oczyścić i uporządkuje przy tej sposobności, to niezawodna. Na obie wystawy te czytelników i czytelniczki zapraszamy, pewni że przestaną zakupywać za granicą przedmioty, które sami wyrabiać umiemy, co się dowodnie ukaże.

PRZEGLĄD LITERACKI.

„Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”.

Rok 1880 i 1881 na naszym warszawskim horyzoncie naukowym zarysował się dosyć pokaźnie pracą prawdziwie doniośliejszego znaczenia, jaką jest „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”.

Wobec usiłowań Akademii Nauk w Krakowie, wobec dwóch uniwersytetów Galicyjskich, wobec coraz większego wzrastania ruchu naukowego u nas, którym zaczęli się interesować już i obcy uczeni, czego dowiódł najlepiej „pierwszy zjazd historyków polskich”, najbiedniej dział naukowy przedstawia się w Królestwie. Z tych i wielu innych powodów Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, jest publikacyą doniośliejszego znaczenia i można go śmiało nazwać wiekopomnem wydawnictwem, bez którego żadna literatura obejść się nie jest w stanie.

Szlachetny cel, który wytknęli sobie wydawcy i redaktorzy Słownika, nie może być nam obcym i dla tego wykażemy go czytelnikom wraz z obszarem, który ma objąć to dzieło; i tak obejmie on:

1. Wszystkie miejscowości położone w Królestwie Polskiem.

2. Wszystkie ważniejsze miejscowości w guberniach Nadbaltyckich, Zachodnich i Południowych Cesarstwa Rossyjskiego.

3. Miasta gubernialne, stacye pocztowe, telegraficzne i stacye dróg żelaznych w pozostałych guberniach Rossyi europejskiej.

4. Wszystkie ważniejsze miejscowości Prus Zachodnich i Wschodnich, Wielkiego Ks. Poznańskiego i Szlązka Pruskiego, ze szczególnym względem na słowiańskie nazwy miejscowości, dziś zmienione.

5. Wszystkie ważniejsze miejscowości Galicyi, Szlązka Austryackiego i Morawy, słowiańskich komitatów Węgier, Bukowiny, także z uwzględnieniem dokładności w nomenklaturze okolic, które uległy wpływowi: germanizacyi, madziaryzacyi i romanizacyi.

6. Dokładna hydrografia i orografia wymienionych powyżej krajów.

7. Wszystkie miejscowości będą opisane pod względem geograficznym, statystycznym, społecznym, (szkoły, stosunki religijne, przemysł, komunikacye, handel), historycznym (założenie miejscowości, wypadki ważniejsze, przechodzenie z rąk do rąk) i archeologicznym.

Widzimy więc jak obszerny program i z jak szlachetną dążnością ułożony został.

Ogrom materyałów rozrzuconych po wszystkich naszych pismach peryodycznych i w książkowej literaturze jest dość znaczny, ale tak rozrzucony że prawie żadnego użytku nie daje. Wiedzą też wydawcy, że na raz nie stworzą i nie mogą stworzyć rzeczy zupełnie doskonałej, ale dają pierwsze podwaliny pod gmach niezwykłej wielkości.

Dotąd ukazały się już dwa tomy słownika, każdy z nich zawiera po 12 zeszytów, a każdy zeszyt obejmuje pięć arkuszy druku, co tworzy około 1000 stronic; jednakże pomimo drobnego druku dopiero doprowadzono do końca litery G.

Z ważniejszych artykułów, pomieszczonych w nich są: Częstochowa, Gniezno i Grodno oraz wiele innych, o których możnaby coś powiedzieć, ale wydawcy „Słownika” nie raklamowali się doskonałością i na wstępie powiedzieli:

„Słownik” nasz — mówią oni — jest pierwszą w literaturze naszej próbą encyklopedyi krajoznawczej na tak wielką skalę i musi nosić na sobie cechy nieodłączne od wszelkich pierwszych prób. Będziemy bardzo zadowolnieni, jeźli to tylko spełni zadanie, że posłuży za kadry, które kiedyś następcy nasi uzupełnią.

Jeżeli gdzie, to u nas, i jeżeli kiedy, to w tych czasach powinniśmy mieć na względzie potrzeby społeczne przedewszystkiem i zaspakajać je w miarę sił jak najśpieszniej. Lepiej zacząć niedostatecznie, byle z wolą poprawy, niż czekać, zbierać przez lata całe i... nic nie zrobić.

Wiemy o licznych tego rodzaju usiłowaniach naszych uczonych, które poszły na marne. Stosy notat ś. p. Kucharskiego, Stekierta i w. i. były dla nas odstraszającym przykładem, że chęć wykonania odrazu wielkiego dzieła i zwlekania bez końca, przynosi w takich razach szkodę. A zresztą wszakże i słynne dziś encyklopedye Brockhausa, Meyera, miały także niezbyt świetne początki. Powtarzamy: lepiej zrobić, co można, niż zostawić bez użytku manuskrypta, choćby najstaranniejsze, ale przedawnione i dla nikogo prawie niezrozumiałe.”

Wreszcie przytoczymy tu zdanie o „Słowniku” jednego z najpoważniejszych naszych mężów wszechnicy Jagiellońskiej i prezesa Akademii Umiejętności w Krakowie, doktora Józefa Mayera, który orzekł iż Słownik ten będzie inwentarzem własności naszej narodowej.

Wiktor Czajewski.

ODCZYTY.

A. Kraushara—„O palestrze w dawnej Polsce”. Jaksy Bykowskiego — „I czegóż jeszcze naszej białogłowie potrzeba”. Szolz-Rogozińskiego—pożegnalny odczyt przed odjazdem do Ameryki „O stronach kameruńskich”.

Z szeregu odczytów na rzecz Osad rolnych, które tak świetnie rozpoczął pr. Tarnowski, nastąpiły kolejno p. Kraushara i Bykowskiego.

P. Aleksander Kraushar wybrał sobie rzecz bardzo wdzięczną, bo palestrę dawnej Polski, która zajęła poważne stanowisko w dziejach prawnych nie tylko już w naszym kraju, ale nawet w całej Słowiańszczyźnie. I kiedy starszy od polskiego zachodnią cywilizacyą i piśmiennictwem naród czeski, tonął w pośród niemczyzny, Polska potrafiła sobie wyrobić zupełnie odrębny kult prawny, który aż do naszych czasów pozostał. Od Kazimierza Wielkiego, zbierającego w jedną całość dwa ogromne statuty, małopolski i wielkopolski, aż do organizacyi sądowej dokonanej w ostatnich czasach przez stany Rzeczypospolitej cztery zeszło wieki, gdzie przy zupełnie odrębnych zwyczajach rozwijała się polska palestra. To też p. Kraushar pojmował wyśmienicie i rozumiał dobrze, że Polska wytworzyła zupełnie inny rodzaj palestranta, których mieli tylko Rzymianie, Francuzi i Anglicy. Porównywając jednak i zaznaczając te odrębności, nie zaznaczył cech które ten rodzaj adwokacki od siebie różnią. Jednem słowem, jeżeli dzieje czterowiekowe palestry polskiej, jak chce pan Kraushar — są niezmiernie potężne, to nie powinno się ich traktować tylko encyklopedycznie.

Bo i cóż o palestrze polskiej w jednej godzinie można powiedzieć?

Najpierw p. Kraushar zatrzymał się nad pochodzeniem wyrazu palestra, co dosyć wreszcie niejasno określił nadmieniając, że Palestra była to nimfa, córka Merkurego, wynalazczyni sporów; potem wykazał typ Palestranta, którego odtworzył Kraszewski w powieści „Maleparta” i świeżo p. Jaksa Bykowski w „Memoryaliku palestranta trybunalskiego”. Ów praktykant adwokacki, którego ogólnie zwano *torbiferem*, początkowo musiał parę lat służyć, a nawet poprostu terminować u adwokata, spełniając wszystko co tylko mu polecono, aż do noszenia worka, a raczej torby z dokumentami, od której przybrał swoje nazwisko. Po wyterminowaniu zostawszy wreszcie już zdolnym palestrantem, wtedy butnie przybie-

rał się w płaszcz o szerokich rękawach z peleryną, w sterczące kołnierzyki, okręcając szeroką atłasową chustką kilkakrotnie szyję. Jak samą postać zapożyczył z powieści, tak i o całem sądownictwie rokował z poezyi i satyr...

Nie tam droga dla badacza praw dawnych i palestry polskiej, trzeba było wziąć akta grodzkie, zapisy i dawne statuty, wreszcie dyaryusze i wtedy zaznaczyć, jak to prawodastwo rozwijało się u nas.

Wszystko, to co nam p. Kraushar powiedział, są to rzeczy znane, i ów stół długi na podwyższeniu okryty zielonem suknem, i owe formy, podczas wyroku, kiedy wprowadzali winnego, aby wysłuchał wyroku, po którym gdy ten był łaskawy, woźny imponującym głosem wzywał: „mościpankowie uciszcie się!” w przeciwnym zaś razie zamykano drzwi od sali ze szczękiem, duchowni zakrywali twarze rękoma, a sędziowie nakładali birety. Zwykle to miało miejsce, gdy woźny głuchym głosem czytał wyrok śmierci, poczem podsądnego odprowadzano na miejsce kary.

Rozprawiając wreszcie o palestrze p. Kraushar bronił jej od zarzutów, jakie zwykle czyniono tym „Protazom” i wydrwigroszom sierocej pracy. Jużto wogólności nie celowała ona uczciwością, a najdosadniej może charakteryzuje ją Rej w „Krótkiej rozprawie”, którego prelegent zupełnie pominął, nie spodziewając się wcale że to co znalazł u Jana z Czarnolesia, Krysztofa Opalińskiego i Rysińskiego, ma swoje źródło w Reju:

Rozlicznie cię będzie winił:
Złe masz prawo — źleś uczynił.
Nie będzie li mej pilności,
Iście nie ujdziesz trudności.

Ale gdybym chciał dołożyć,
Mogłoby twe prawo ożyć.
Jeszczebym ja dziurę znalazł,
Kędy byś z tej sieci wylazł.

Toć cię już ciągnie jak lis;
Daj na *minut* daj na wpis,
Daj pamiętne dajże winę,
Lada o jaką przyczynę... i t. d.

Ale to lżej nam skąd inąd korzystać jak u źródeł i dlatego, zostawiamy zwykle Reja na boku i jego charakterystykę, a biegniemy dalej i chwytamy to co nam pod rękę wpada.

Jedną może najgłówniejszą zaletą prelekcyi było wypowiedzenie dosyć gładkie i styl jej wolny od anachronizmów.

Pan Jaksa Bykowski swoim tematem, a raczej tytułem tak zachęcił publiczność, że zapełniła dużą salę ratuszową w zupełności; czy jednak zadość uczynił i zaspokoił żądanie, trudno nam powiedzieć potakująco. Wprawdzie sz. prelegent bardzo gruntownie i z niesłychaną znajomością rzeczy wypowiedział historyczny swój odczyt, w którym wszystkie sławne historyczne postacie polskiej kobiety jaśniały, a było ich wiele, bo: Wanda, Dąbrówka, Jadwiga, Anna Jagiellonka, Drużbacka, Jabłonowska, Hofmanowa, Deotyma, Konopnicka... czym tylko nie opuścił któréj — prawda mimochodem dotknięta Barbara Radziwiłłówna, którą sz. prelegent tylko do kwiatów w wianku chełmowym Zygmunta policzył. Wyliczeniem tem chciał wykazać że nasze białogłowy były zawsze uprawnione i nic im nie brakowało.

Bardzo to pięknie, ale lepiejby był bez porównania szanowny prelegent uczynił, żeby zamiast tych historycznych pogawędek, swym złotym i niewyczerpanym humorem ozdobił całą swą prelekcyą. O Wandzie i jej strasznych losach wiemy wszyscy, niemniej też o Jadwidze i o Annie Jagiellonce, a wreszcie możemy zasięgnąć tych wiadomości z podręczników historycznych, zkądbyśmy dowcipu i żywego słowa p. Jaksy nie zaczerpnęli! To też najwięcej wartościowe były te miejsca w odczycie, gdy je swoim złotym humorem p. Jaksa Bykowski przeplatał.

Znana zapewne jest już naszym czytelnikom myśl polskiej wyprawy do Afryki, którą przedsięwziął p. Szolz-Rogoziński i uroczystym odczytem pożegnał Warszawę, udając się w zamierzoną podróż. Ma on odpłynąć na statku „Łucya-Małgorzata” w kwietniu z Neapolu do zatoki Kameruńskiej, która to była przedmiotem ostatniego odczytu. Przedewszystkiem starał się p. Szolz-Rogoziński wyjaśnić, jak dotąd ta okolica wygląda, kreśląc piękne widoki z żywą wyobraźnią. Zwracał też swoją uwagę na tamtejszych mieszkańców, którzy nie znają dotąd monety i prowadzą handel prostą wymianą. Są oni wysokiego wzrostu, łagodni i gościnni, a przedewszystkiem cenią tytoń, arak i broń za którą oddają wiele bardzo cennych i kosztownych rzeczy.

Terytoryum jakie ma przebiedz p. Szolz-Rogoziński obejmuje przeszło 1,200 mil, a celem jej jest odszukanie koryta rzeki Liby i jej dopływów, wraz z jeziorami. Z panem Rogozińskim i inni Polacy udają się razem, jako: p. Leopold Janikowski z Sieradza i p. K. artysta-malarz z Krakowa. Smutne było to pożegnanie młodego podróżnika, który może więcej już nie powróci i nie ujrzy swojej ojczyzny! To też licznie zebrana publiczność hucznemi oklaskami pożegnała swojego rodaka, który czysto dla celów naukowych nieutrudzoną przedsięwziął podróż. Podczas swej bytności i w miarę postępu pracy, ma przez „Wędrowca” udzielać p. Szolz-Rogoziński różnych wiadomości i szczegółów naukowych, a oprócz tego mamy nadzieję że może Warszawa zyska nie jeden dar kosztowny i zabytek afrykańskiej kultury, jak również okazy podekwatoryalnej fauny i flory! *Wiktor Czajewski*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Dnia 19 b. m. *Józef Bohdan Zaleski* obchodzić będzie ośmdziesiątą rocznicę swoich urodzin i dzień imienin. Wieszcz nasz ukraiński zamilkł od jakiegoś czasu, ale urok pieśni jego zawsze świeży i zapisały się one głęboko w pamięci i sercu narodu. Donoszą nam z Paryża, że przebywający tam rodacy nasi postanowili uroczyście obchodzić tę rocznicę. Jesteśmy przekonani że i z kraju wiele osób zechce korzystać z tej sposobności, aby sędziwemu poecie złożyć życzenia i hołd uwielbienia swego, czy to telegramami czy piśmiennie, podajemy więc wskazany przez *Wiek* adres p. Dygata za pośrednictwem którego doręczone mu zostaną: Monsieur Lonio Dygat, Paris. Mairie du Panthéon.

— W ostatnim N-rze „Tygodnik Illustrowany“ przyobiecuje prenumeratorom swoim zamieścić w następnym nadesłany mu ze Lwowa wiersz Adama Mickiewicza napisany niegdyś do Zaleskiego, do którogo nieśmiertelny jego twórca sam dorobił muzykę. Będzie to więc pamiątka podwójna, nadzwyczaj zajmująca.

*** We wsi Bolesław, w powiecie olkuskim, na łąkach, pod któremi znajdują się kopalnie galmanu należące do p. Kramsty, skutkiem roztopów woda przebiła pokład ziemi i wdarła się do galeryi podziemnej, w której pracowało kilkunastu robotników, i jednocześnie sklepienie zaczęło się zapadać i zasypywać. Kilku robotników rzuciło się ku wyjściu; ci zostali zasypani o kilkanaście łokci od otworu, i dzięki temu, wkrótce zostali odkopani. Smutniejszą była dola trzech ich towarzyszy, którzy widząc zasypujące się sklepienie obok wyjścia, odbiegli w przeciwną stronę i schronili się w bocznej galeryi. Woda napływała coraz więcej; jeden ukrył się w niszy będącej w ścianie, drugi wdrapał się na drewniane podpory—i w tem położeniu oczekiwali śmierci. Głuchą ciszę przerywał tylko plusk wody i łoskot walącej się ziemi; niekiedy z piersi ich wydzierał się okrzyk przyzywający pomocy, ale nikt go nie mógł słyszeć. Biedne ofiary co chwila wyglądający śmierci, przepędzili tak dwa dni i dwie nocy nie śpiąc i nie jedząc: trzeciego już straszny głód im dokuczał i odwaga opuszczać zaczynała, czwartego rozpacz ogarnęła bezsilnych, umierających prawie z głodu. Towarzysze pracujący nad odkopywaniem zawalonej ziemi, nie spieszyli się zbytecznie w przekonaniu że wydobędą nieżywych. Piątego dopiero dnia zbliżyły się roboty do miejsca katastrofy; wszyscy byli pewni że biedni górnicy przygnieceni ciężarem zapadającej się ziemi, zostali zmiażdżeni w bezkształtną massę. Kobiety płakały, górnicy nie przerywali roboty. Wtem dosłyszeli słabe jęki: Żyją! Żyją! — wydarł się krzyk z piersi obecnych—i teraz z największą gorliwością i możliwym pośpiechem odkopywano ziemię. Gdy już zrobiono mały otwór, jeden z górników dostał się do wnętrza i po chwili wyniósł omdlałego towarzysza, poczem zaraz udano się po drugiego i po pięciu dniach obaj zostali uratowani; — co się stało z trzecim, niewiadomo—śladu jego nigdzie nie znaleziono. — Biedni ci górnicy! nie dość że praca ich tak ciężka, jeszcze ciągle zagraża im jakieś niebezpieczeństwo. Całe ich życie to ciągła walka ze śmiercią: to gazy wybuchają, to kopalnia się zawala, to woda ją zalewa, to nareszcie psuje się winda i spuszczający się nią do szybów straszną giną śmiercią.

*** We Lwowie przygotowuje się szereg odczytów, z których dochód ma być obrócony na zwiększenie funduszu na pomnik dla Mickiewicza. Z zaproszonych osób przyrzekli przyjąć udział w wykładach, z Warszawy: Deotyma; z Paryża Julian Klaczko; z Pragi Czeskiej, Emmanuel Tonner. Ostatni, Czech rodowity ale wychowany w Galicyi, doskonale włada językiem polskim, odpowiedział na zaproszenie jak następuje: „Wierzcie mi panowie, że umiem ocenić tak niepospolity zaszczyt, który mógłby wzbudzić we mnie zarozumiałość, gdyby nie przekonanie że nie chodzi tu o mało znaczącą osobistość moją, lecz o myśl zbliżenia się zbratania naszego szczepu, myśl wzniosłą i zbawienną, której z całą duszą służyć pragnę. Powinienbym może dać odpowiedź odmowną, że jednak nie chcę ominąć żadnej sposobno-

ści popierania wyż wspomnianej sprawy, więc choćby z narażeniem na upakarzające niepowodzenie, chętnie przyjmuję zaproszenie. Za przedmiot prolekcyi zamierzam obrać „Upadek narodowości czeskiej i podniesienie jej przez pracę". Jako członek Rady państwa, mogę tylko przybyć do waszego Wiednia na 25 marca, gdyż inaczej musiałbym zaniedbać obowiązki poselskie."

*** Świeżo wydany został przez ministeryum projekt normalnej ustawy prywatnych towarzystw pomocy naukowej przy zakładach rządowych, obejmujący 41 paragrafów. Projekt dozwala zakładać towarzystwa, jak tylko znajdzie się 10 członków założycieli, obowiązanych wystąpić o upoważnienie do naczelnika gubernii. Najniższą składkę członków rzeczywistych, projekt oznacza na 4 rs. rocznie, członków honorowych na 50 rs. rocznie. Projekt ten rozesłano do wszystkich gimnazyów okręgu warszawskiego, dla zasięgnięcia opinii.

*** Dziennik „Medical Record" podaje że liczba kobiet doktorów bardzo się znacznie zwiększa. W Stanach Zjednoczonych praktykuje już 400 kobiet które ukończyły kursa i otrzymały patent doktorski; największa ich liczba zamieszkuje w New-Yorku i w Pensylwanii. W Rossyi 12 kobiet ma prawo wykładać kobietom kursa medycyny, 30 kobiet lekarzy pełni swe obowiązki pozostając w służbie ziemstw; 40 jest lekarzami ordynującymi w szpitalach, 25 kobiet doktorów zostały ozdobione orderem św. Stanisława, za odznaczenie się gorliwością w pełnieniu swych obowiązków podczas wojny 1877 r. Liczba studentek ciągle także się zwiększa. W Niemczech przeciwnie nader mało kobiet poświęca się medycenie, a mała rozproszona ich garstka zajmuje się wyłącznie leczeniem chorób dziecinnych, oraz zębów i ust. W Warszawie bawi obecnie dr. medycyny, Teresa Ciszkiewicz. Panna C. przed kilku laty skończyła uniwersytet w Bernie i po złożeniu rozprawy doktorskiej udała się do Drezna, gdzie czas jakiś pełniła obowiązki asystenta w klinice profesora Winkla. Zatęschniwszy do kraju, udała się do Petersburga aby tam zdać wymagane egzamina. Jakoż zdała już tak zwany egzamin filozoficzny, a kliniczny ma zdawać za powrotem do Petersburga. Po uzyskaniu tytułu doktora i prawa praktyki, panna C. zamierza stale zamieszkać w Warszawie.

*** Wiadomo że od pewnego czasu Japonia stara się przyswajać sobie o ile możności wszelkie użyteczne wynalazki europejskie, i tak między innemi już od parę lat urządzono tam liczne linie telegraficzne między główniejszemi miastami, a kupcy miejscowi, chętnie korzystający z wszelkich ułatwień w przyspieszeniu komunikacyi, prędko oswoili się z posługiwaniem telegrafów. Czas jakiś telegrafy funkcyonowały doskonale, aż naraz rozeszła się w Jeddo niepokojąca wieść że linie telegraficzne widocznie zostały popsute, bo depesze wysłane nie dochodzą do miejsca swego przeznaczenia. Służba telegrafów, fizycy, inżynierowie zaczęli dochodzić co mogło spowodować przerwę w działaniu aparatów, które daremnie wzmacniano silniejszemi bateryami. Sprawdzono że druty nigdzie nie zostały przerwane, nareszcie po długich rozpatrywaniach dostrzeżono że w niektórych miejscach pewien rodzaj dużego leśnego pająka, zwykle rozciągający swe sieci na gałęziach katalpów, eukalyptusów i innych bujnych krzewach, uznał druty telegraficzne za wybornie nadające się do tego celu, i zająwszy się gorliwie przędziwem i tkactwem, usnuł wprędce jakby wielkie firanki, łączące owe druty z ziemią. Ponieważ ten rodzaj pajęczyny jest dobrym przewodnikiem elektryczności, zatem zamiast spokojnie przebiegać po drucie, gdzie tylko depesze spotykały na drodze takie ściany z pajęczyny, spuszczały się i ginęły w ziemi. Zajęto się niebawem oczyszczeniem drutów i natychmiast potem komunikacya przywrócona została. Służba telegraficzna odebrała rozkaz niszczenia pajęczych tkanek jak tylko się pokażą, aby nie mogły nigdzie dosięgać do ziemi.

*** Dzienniki nowojorskie podały wiadomość o strasznym pożarze, wybuchłym w okolicach Orleanu dnia 12 z. m. Od iskier padających z lokomotywy, zapaliły się olbrzymie zbiorniki nafty, zawierające, 105,000 baryłek tego płynu. Morze płomieni roztoczyło się dokoła; ze wszech stron poblizkich sprowadzono straż pożarną—ale niepodobna było opanować i ugasić ognia. Okopano więc płonące miejsce, usypano ochronne wały i pełne rozerwoary porozbijano strzałami armatniemi, aby zawarta w nich nafta rozlała się po ziemi a tem samem zmniejszył się materyał palny. W nocy na kilka mil do koła, łuna jasnego światła rozjaśniała całą pkolicę. Straty oceniają na 115,000 dolarów.

*** Gustaw Doré, znany illustrator Biblii, Dantego i tylu arcydzieł poezyi, pracuje obecnie nad wielkim obrazem treści religijnej, który ma być ukończony przed otwarciem salonu. Artysta postanowił przedstawić pociechę modlitwy, stanowiącej tak wielkie dobrodziejstwo dla ludzkości. W środku obruzu stoi Zbawiciel otoczony gronem pobożnych; dokoła Niego podnoszą błagalnie ręce klęczący ludzie wszelkiego wieku i stanu, od żebraka do króla, od prostaczka do filozofa. Na obrazie tym ożywionym religijnem natchnieniem, znakomity malarz pomieścił przeszło sto figur, którym znawcy wielkie oddają pochwały.

*** Dienniki neapolitańskie podają fakt nader ważny jeźli jest prawdziwy: mianowicie o zupełnem uleczeniu głuchoniemego od urodzenia. Kuracyą tę miał przeprowadzić profesor Giampetro, według nowo wynalezionej metody. Czterech innych głuchoniemych leczonych tymże sposobem, są także podobno na drodze do wyleczenia. Jakże to wielkie byłoby dobrodziejstwo dla tylu nieszczęśliwych kalectwem tem dotkniętych!...

*** Dyrektor mennicy w Stanach Zjednoczonych, w dorocznem sprawozdaniu swojem oblicza całkowitą produkcyą złota na świecie w r. 1881 na 107 milionów dolarów wartości, a srebra na 87,500,000 dolarów. Na wyrób różnych ozdób, kosztowności, przedmiotów zbytkowego i codziennego użytku, zużyto w tymże roku złota za 75 milionów, srebra za 35 milionów dolarów. Ilość złotej monety znajdującej się w obiegu w cywilizowanych krajach całego świata, przedstawia wartość 3,221 milionów dolarów, monety srebrnej o wysokiej próbie 2,115 milionów dol., monety zdawkowej 423 milionów dol.—razem wartości 5,759 milionów dolarów. Pieniędzy papierowych istnieje według tegoż sprawozdania za 3,644 milionów dol. a razem moneta kursująca po całym świecie i znajdująca się w skarbcach bankowych, przedstawia wartość 9,403 milionów dolarów.

*** Niejaki p. Verto w Odesie, wynalazł przyrząd do krajania lodu, z pomocą którego parowce i statki żaglowe mogą pływać swobodnie po morzach i rzekach pokrytych grubą warstwą lodu. Przyrząd taki przymocowywa się do przodu okrętu; ma on być bardzo prostej konstrukcyi, doskonale odpowiada swemu celowi, daje się z łatwością rozbierać na części a koszt urządzenia ma być bardzo niewielki. Wynalazca wnosił podanie do departamentu handlu i przemysłu, w celu uzyskania przywileju na swój wynalazek. Próby z przyrządem odbędą się w Odesie jak tylko morze zamarznie. Wynalazca zapewnia że przyrząd jego ułatwi nadzwyczaj żeglugę po morzach północy.

*** Pisma amerykańskie donoszą, że między mormonami panują wielkie niesnaski, a powodem ich walc, któremu młodsze pokolenie sekciarzy oddawało się z nadzwyczajnem zamiłowaniem podczas tegorocznych zapust. Starszyzna uznała że taniec ten zagraża moralności społeczeństwa mormońskiego wielkiem niebezpieczeństwem, i uchwaliła iż ktokolwiek poważy się tańczyć walca skazany będzie na karę. Postanowienie to oburzyło młodzież obu płci i wywołało energiczną opozycyą przeciw samolubnemu wyrokowi „starych". Zwolennicy walca zebrali się na tajemne posiedzenie, na którem zobowiązali się przysięgą bronić sprawy ulubionego tańca wszelkiemi możliwemi sposobami, boć przecie prorok sekty, Brigham Yung, nie miał nic przeciw niemu i nigdy go nie zakazywał. Trudno przewidzieć do czego zatargi te doprowadzą — ale to pewna że powaga „starych" i karność „młodych" na ciężką zostały wystawione próbę.

*** Pan Jelinek miał niedawno w Pradze odczyt „O przyjaznym stosunku Polaków do Czechów, szczególniej w piśmiennictwie." Prelegent zawiadomił słuchaczy o dowodach współczucia jakie w ostatnich czasach Polacy okazali względem Czechów, oraz zwrócił uwagę na żywe zajęcie z jakiem zajmuje się Czechami literatura polska. P. Edward Jelinek od dawnego już czasu pracuje nad obszernem dziełem „O upadku Polski" mającem zawierać rys życia naszego od końca XVIII wieku do obecnej chwili.

*** W Harrisburgu, w Pensylwanii tworzy się spółka mająca zamiar wydzierżawić Wezuwiusz, celem wyszukaniania źródeł nafty, prawdopodobnie znajdujących się w jego głębi. Kapitał spółki, na czele której stoi Włoch, Angelo Passaponti wynosi 17 milionów dolarów. Wiadomość tę podają dzienniki amerykańskie. (?)

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 3 Марта 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

— Prześliczny wieczór!... Powietrze takie ciepłe, wonne, odezwał się Karol. Czy nie chciałabyś pochodzić dłużej, Łucyo?

Zawrócili jednocześnie, choć mu nic nie odpowiedziała, i doszli znów do bramy nie przerywając milczenia. Łucya zerwała gałązkę głogu, i powracali wolno ku domowi. Księżyc skrył się za chmurkę.

— Może pozwolisz abym ci podał rękę; ściemniło się nagle.

Wzięła go pod rękę, gdyż rzeczywiście było ciemno, i dla tego też nie można było dostrzedz rumieńca który pokrył nagle jej śliczną twarzyczkę. Uszli już połowę drogi, Karol pochylił się ku niej i mówił cicho, pomimo że rozmawiali tylko o jutrzejszej zabawie, wtem jakaś osoba stanąwszy za bramą patrzyła na nich przez żelazne sztachety.

Tą osobą była miss Blake. Wróciła właśnie z podróży, i stosownie do poprzedniej umowy stanęła u pułkownika Cleeve. Czy przebywała u pułkownika, czy na probostwie, dawała zawsze za swe utrzymanie sto funtów rocznie, utrzymując że tym sposobem czuła się więcej niezależną. Pobyt za granicą nie ostudził jej miłości dla pana Andinian, przeciwnie, tęsknota za nim powiększyła ją raczej; dla tego też przybiegła co prędzej, a serce jej biło silnie i radośnie na samą myśl że ma go zobaczyć.

I ujrzała go... ale obok innej kobiety... Księżyc wysunął się znów w całym blasku, roztaczając dokoła swe łagodne światło. Miss Blake miała wzrok doskonały; spostrzegła też zaraz że Karol prowadził pod rękę jakąś kobietę i pochylony ku niej zdawał się szeptać jej coś do ucha; była to kobieta młodsza i piękniejsza od niej... była to Łucya Cleeve!

Przeczucie prawdy zabłysło w jej umyśle i przejęło ją dreszczem; trwało to jednak zaledwie chwilkę: odrzuciła tę myśl jako zupełnie śmieszną i niedorzeczną, i otworzyła głośno bramę. Posłyszawszy za sobą jakieś kroki, odwrócili się i odsunęli od siebie. Karol zdjął kapelusz i zawołał wyciągając rękę:

— Miss Blake!

— Przyszłam tu z waszym starym Janem, którego przysłano po ciebie, droga Łucyo, gdyż chciałam zobaczyć tę naszą kochaną mistress Blake, powiedziała spokojnie, jakby dla wytłomaczenia się z tak niespodziewanego przybycia, pozostawiając dłużej niż było trzeba, rękę swą w dłoni Karola. Cudowny wieczór!

Weszli razem do saloniku dobrze oświetlonego, co nam dozwoli przypatrzeć się lepiej miss Blake i Łucyi, oraz porównać je z sobą. Miss Blake była wysoka i wysmukła, a jeźli można było coś zarzucić jej pięknej kibici, to jedynie że była za szczupła. Rysy i cera nie pozostawiały nic do życzenia, oczy miała zielonawe, badawcze; włosy rude z natury, przybrały, dzięki jakiejś farbie, kolor brunatno złotawy, w którym jednak łatwo było dostrzedz różne odcienia. W ogóle miss Blake mogła być zaliczoną do ładnych kobiet; ubierała się bardzo starannie, i zawsze według najświeższej mody. Była przekonaną że mając jeszcze tak świeżą cerę włosy gęste, i ubierając się ładnie, mogła uchodzić za młodszą znacznie jak była rzeczywiście, i co prawda, nie myliła się pod tym względem.

— A Łucya? Łucya była śliczną osóbką, z twarzyczką uroczą, zdradzającą umysł rozwinięty, dobroć i tkliwość. Rysy jej były uderzająco piękne; oczy miała jasno piwne, pełne ognia, włosy, brwi i rzęsy ciemne. Stojąc obok miss Blake zawsze pewnej czyli raczej zawsze zadowolnionej z siebie, wyglądała jak lękliwe dziecko, rade ukryć się przed wzrokiem ludzkim. Przy miss Blake wysokiej rzeczywiście, a podwyższonej jeszcze napiętrzonemi na czubku głowy włosami, Łucya wydawała się nizką choć rzeczywiście była średniego wzrostu.

Radabym wiedzieć... tak, chciałabym bardzo wiedzieć, jak dawno poznał Łucyę! pomyślała Teresa, i w tym celu zaczęła przysłuchiwać się uważnie i wypytywać nieznacznie.

Dowiedziała się wkrótce, że Karol bywał bardzo często u państwa Cleeve od pierwszych dni wiosny. Spostrzegła, a spostrzeżenia miss Blake były zwykle trafne, że przemawiał do Łucyi daleko słodszym, miększym głosem niż do niej.

— To być *nie może* aby ich łączyło jakieś tkliwsze uczucie! nie, *to być nie może.*

A jednak na samą myśl o tem zimny dreszcz przebiegał ją całą.

„Przekonam się o tem jutro, myślała dalej; wszak będą oboje na pikniku i... będę ich śledzić.

Miss Blake śledziła i wyśledziła... Zaostrzony zazdrością wzrok i słuch, dozwolił jej przekonać się że porucznik Andinian i Łucya Cleeve kochali się wzajemnie. Pragnąc spełnić obowiązek sumienia, gdyż chciała wierzyć że nie skłania ją do tego żadna namiętność, zdała sprawę mistress Cleeve ze swych spostrzeżeń. Związek stosowny dla niej, nie był stosownym dla Łucyi.

Pułkownik August i żona jego Lucyna Cleeve, byli to bardzo zacni ludzie, a jedyną ich słabą stroną, była duma rodowa. Pułkownik mógł pochlubić się bliższem lub dalszem pokrewieństwem z trzema lordami i jednym szkockim księciem; mistress Cleeve była córką para Anglii. Syn był w Indyach wraz ze swym pułkiem; córka wprowadzona dopiero w tym roku w świat i przedstawiona królowej, mogła rachować na świetną partyę, tak pod względem stanowiska jak majątku. Widzieli że jest piękna, i byli przekonani że nie zbraknie jej wielbicieli. Jakiś gentleman oświadczył się o nią w czasie jej pobytu w Londynie, czyli raczej, prosił pułkownika aby mu pozwolił starać się o jej rękę, lecz pułkownik odmówił grzecznie, dodając że córka jego nie pójdzie nigdy za kogoś zajmującego niższe od niej stanowisko. Państwo Cleeve mieli nadzieję że wydadzą córkę za jakiegoś para. Łatwo sobie wyobrazić ich przerażenie, gdy miss Blake uwiadomiła ich o skutku swych spostrzeżeń.

Uwagi nasze, odnoszące się do niedomyślności mistress Blake, można zastosować dosłownie do rodziców Łucyi. Zarówno jak ona polubili bardzo młodego oficera i zapraszali go często do siebie, ale ani nawet nie pomyśleli aby to mogło wywrzeć jakiś wpływ na dalsze losy Łucyi. Nigdy nie przyszło im na myśl że mogłaby uledz temu urokowi, pod którego wpływem pozostawali sami, lub że wdzięki ich córki mogą podbić serce pana Andinian. Jakże to często zdarzają się w świecie podobne przykłady zaślepienia! Pułkownik i mistress Cleeve nie przypuszczali nawet aby ich córka mogła się pokochać w poruczniku Andinian. Dlaczegoż to? mógłby ktoś zapytać. Dla tego że w ich umysłach przepełnionych dumą rodową, nie mogła powstać myśl, aby człowiek niższy od nich pod względem urodzenia i położenia, mógł pomyśleć o połączeniu się z ich córką, lub też aby ona chciała zniżyć się do niego. Trzeba było otworzyć im oczy aby dostrzegli prawdę.

Mistress Cleeve przerażona, blizka zemdlenia, ale łagodna jak zwykle, prosiła córki aby ją uspokoiła, aby powiedziała jej że to wiadomość mylna; że pomiędzy nią a porucznikiem Andinian, nie ma nic więcej nad prostą życzliwość. Łucya oznajmiła, zalewając się łzami, że nie zamienili z sobą żadnego wyznania, ale była zbyt szczerą i szlachetną aby mogła zaprzeczyć że się kochają wzajemnie. Pułkownik zawezwał do siebie pana Andinian.

Karol wracał właśnie z parady w mundurze, gdy mu list oddano. Było coś tak niezwykłego w tem wezwaniu, że poszedł natychmiast nie zmieniając nawet ubrania. Pułkownik ubrany, jak zwykle, w granatowy frak i batystowy żabot, przyjął go w bibliotece, z grzecznością prawdziwego gentlemana. Był to człowiek nizki i szczupły, z łagodnym wyrazem twarzy i oczu; włosy miał zupełnie siwe i krótko ostrzyżone.

Pułkownik przystąpił prosto do rzeczy.

— Czy to prawda że pomiędzy panem a moją córką istnieją jakieś serdeczne stosunki? Czy rzeczywiście starałeś się pozyskać jej serce?

Karol nie odpowiedział zaraz na te pytania.

Pułkownik spostrzegł to jego zakłopotanie, ale nie domyślił się że głównym jego powodem było zadziwienie; Karol posiadał zbyt prawy i szlachetny charakter, aby mógł dać odpowiedź nie zgadzającą się jak najściślej z prawdą.

— Nie mogę zaprzeczyć, odezwał się nakoniec zmieszany, że między mną i córką pana istnieje najtkliwsze przywiązanie, przynajmniej z mojej strony. Kocham ją najczystszą, najszczerszą miłością jaka może istnieć na świecie. Co się zaś tycze zarzutu że starałem się pozyskać jej serce, to, jeżeli tak było w istocie, czyniłem to bezwiednie, nie zdając sobie sprawy z mego postępowania. Ale... byliśmy bardzo często razem, i może miss Cleeve wyczytała w mojem sercu to... to...

— Co takiego? panie Andinian, zapytał oschłym tonem pułkownik.

— To co ja w jej sercu wyczytałem, odpowiedział Karol ciszej, spuszczając oczy.

Pułkownik Cleeve był zdumiony; uważałby te słowa za dowód największej zuchwałości, gdyby nie wychodziły z ust człowieka tak dobrze wychowanego, tak pełnego taktu, i który zdawał się ubolewać szczerze nad swą nierozwagą.

— A więc proszę mi powiedzieć jakiemi karmiłeś się pan nadziejami, czego się spodziewałeś, pozwalając sobie zakochać się w mej córce?

— Nie spodziewałem się niczego; tak, daję panu słowo honoru że nie łudziłem się żadną nadzieją... a zresztą, dodał z trochę naiwną szczerością, byłem zbyt szczęśliwy, zbyt upojony tem że mogę widywać co dzień miss Cleeve, abym mógł myśléć o przyszłości.

— Czemże pan zdoła wytłomaczyć podobne postępowanie? Czy pan nie uznaje że to prawdziwe szaleństwo?

— Widzę to teraz dopiero, gdyż... nie zdaje mi się aby mi pan pozwolił starać się o rękę swej córki.

Powiedział to wahając się, tonem pokornej prośby; zdawało się że zaledwie ośmielił się wymówić te słowa.

— Co ci znów przychodzi do głowy, panie Andinian? zapytał dumnie pułkownik; czy uważasz się za partyę odpowiednią dla miss Cleeve, pod jakimbądź względem? Tak, powtarzam, *pod jakimbądź względem.*

— Zdaje mi się że...

— Zdaje ci się!... sprawiedliwe nieba! Rodzina twoja, — wybacz, panie Andinian, że dotykam tej kwestyi, ale są chwile w których szczerość staje się konieczną, — rodzina twoja zaledwie wyszła z szeregów, jak się wyrażają wojskowi, a miss Cleeve *jest miss Cleeve*, jest moją córką i wnuczką para Anglii.

— Wszystko to prawda.

— Oto jak przedstawiają się rzeczy co do nierówności urodzenia; zobaczymy jak się przedstawią pod względem majątku. Jakie masz dochody, panie Andinian?

Karol zatrzymał swe szczere, poczciwe spojrzenie, na trochę nasrożonej, a pomimo to spokojnej twarzy pułkownika; nie mógł i nie chciałby skłamać.

— Zapewnie dochody moje wydadzą się panu jeszcze niższemi od mego urodzenia, odpowiedział. Mam moją płacę i dwieście funtów rocznie, a po śmierci matki spadnie na mnie jeszcze dwieście funtów dochodu.

Pułkownik skrzywił pogardliwie usta.

— I to już wszystko... tak na teraz jak na przyszłość?

— Wszystko na co mogę liczyć z pewnością. Może być, że skoro mój brat odziedziczy spadek po sir Józefie Andinian, zrobi coś jeszcze dla mnie, stosownie do życzenia które ojciec nasz objawił w swym testamencie; jest to rzeczą prawdopodobną... ale nie mogę być tego pewnym, i w każdym razie suma nie będzie tak znaczną.

Nastąpiło milczenie. Ojciec Łucyi byłby wolał aby Karol okazywał się mniej otwartym i szczerym, i nie zdawał się tym sposobem tak zupełnie na jego łaskę. Będąc z natury najspokojniejszym człowiekiem w świecie, wolałby znaleźć w nim coś takiego coby go mogło pobudzić do gniewu; teraz zaś młody porucznik budził w nim mimowolne współczucie.

— Każde wypowiedziane przez ciebie słowo, panie Andinian, rzuca jeszcze niekorzystniejsze światło na tę całą sprawę. Sam to wykazałeś że dwie nieprzebyte przeszkody wznoszą się pomiędzy tobą i moją córką... sama myśl że możesz otrzymać jej rękę, byłaby ubliżającą, a gdyby coś równie niepodobnego mogło się spełnić—o czem nawet myśléć nie chcę—w takim razie cała jej przyszłość, całe jej szczęście byłoby na zawsze stracone.

Blada twarz Karola stała się nagle równie czerwoną jak jego mundur.

— Są to zbyt ostre słowa, pułkowniku Cleeve.

— Ale prawdziwe, panie Andinian, i dające się łatwo usprawiedliwić. Wpojono w Łucyę przekonania odpowiednie do jej stanowiska; powtarzano jej zawsze że wchodząc do domu męża, powinna znaléźć w nim to przynajmniej do czego była przyzwyczajona od lat dziecinnych. — Utrzymanie syna dużo mnie kosztuje, a majątek mój jest skromny, w porównaniu z mojem stanowiskiem; — okazuję się równie szczerym jak pan, przed chwilą, —pomimo to żyjemy stosownie do naszego położenia, otoczeni konfortem a nawet pewnym zbytkiem. Cóż w zamian za to możesz ofiarować Łucyi?... Mieszkanie w koszarach i konieczność przenoszenia się ciągle wraz z tobą z miejsca na miejsce, stosownie do tego gdzie twój pułk stać będzie.

Karol milczał; smutek i upokorzenie zamykały mu usta. Pułkownik przedstawiał rzeczy w przesadzonem świetle, ale pod wielu względami miał słuszność.

— Czy chciałbyś ściągnąć na nią podobne nieszczęście, skazać ją na taką biedę! Jeżeli...

— Nie, panie, nie chciałbym nigdy wystawić Łucyi na nic podobnego, odpowiedział Karol z żywością. Jakież wyobrażenie ma pan o mnie? Szczęście Łucyi jest mi stokroć droższem nad moje własne.

— Jeżeli posiadasz rzeczywiste poczucie honoru, panie Andinian—a dotąd byłem przekonanym że jesteś nim szczodrze uposażony—jeżeli dbasz choć trochę o spokój i prawdziwe szczęście mej córki, słowem jeźli jesteś prawdziwym mężczyzną i gentlemanem, dopomożesz mi wszelkiemi siłami do naprawienia złego do którego przyczyniłeś się głównie.

— Gotów jestem uczynić wszystko co będzie w mej mocy, odpowiedział Karol, którego serce ścisnęło się boleśnie pod wpływem bolesnego przeczucia.

— Dobrze. Od tej więc chwili nasze wzajemne stosunki ustają zupełnie, i musisz mi dać słowo, że nie będziesz usiłował porozumiewać się w jakibądź sposób z moją córką, a nawet spotykać się z nią w towarzystwach, jeżeli tylko będziesz mógł tego uniknąć. Odtąd pan i miss Cleeve staniecie się dla siebie zupełnie obcemi.

Nastąpiło głuche milczenie; Karol patrzył gdzieś w przestrzeń, nie zdolny wymówić ani słowa.

— Nie odpowiadasz mi, panie Andinian.

Przemógł swe wzruszenie, i odpowiedział:

— Rozmyślałem nad tem czem teraz będzie moje życie, tak wcześnie pozbawione wszelkiego uroku, rzekł stłumionym głosem.

— Więc pan nie chce się zastosować do mego żądania?

— Przeciwnie. Przedstawiając rzeczy w takiem świetle, nie zostawił mi pan wolności wyboru. Podzielam zdanie pana, że ze względu na nasze wzajemne położenie, miłość moja była szaleństwem, i daję panu słowo że gdybym się od początku zapatrywał na nią z tego punktu widzenia, i przewidywał że przyjdzie czas w którym będziemy zmuszeni... unikać się wzajemnie, byłbym wystrzegał się spotkania z miss Cleeve.

— Szkoda, panie Andinian, że ten rodzaj żalu przychodzi zwykle za późno, odezwał się pułkownik trochę ironicznie.

— Rzeczywiście; przynajmniej tak jest w tym razie.

— Więc rzecz już umówiona, rachuję na słowo pana.

— Może pan liczyć na nie z pewnością; muszę jednak oświadczyć panu, że gdybym nie uznawał że postanowienie pana jest słuszne, rozsądne i zgodne z dobrem Łucyi, trudno byłoby mi zgodzić się na nie, gdyż to rozłączenie zatruje całe moje życie. Przysięgam panu na honor, że nigdy nie będę starał się z nią widzieć i że będę unikał spotkania się z nią, o ile to będzie zależéć odemnie. — Czy po to dożyłem tej chwili, dodał w myśli, abym był zmuszony dać podobne przyrzeczenie?

— Spodziewałem się tego po tobie, panie Andinian, że zgodzisz się na moje żądanie, odezwał się pułkownik sztywno, ale grzecznie. Przyznaję z przyjemnością że twoje obecne postępowanie jest wolne od wszelkiego zarzutu, i jestem przekonany że mogę polegać na twojem słowie.

— Może pan spuścić się na mnie jak na siebie samego, odpowiedział Karol. Gdybym kiedyś znalazł się w nieszczęśliwszem położeniu pod względem majątkowym—co obecnie zdaje się rzeczą nieprawdopodobną, a czego jednak bywały przykłady, i gdyby Łucya była jeszcze wolną...

— Nie zmieniłoby to wcale stanu rzeczy: brak majątku nie stanowi tu jedynej przeszkody, przerwał dumnie pułkownik. Dosyć mamy teraźniejszości, panie Andinian, dajmy pokój wszelkim przypuszczeniom dotyczącym przyszłości.

— Ma pan słuszność... mamy aż nadto teraźniejszości!... Pozwól pan abym zaniósł do niego jedną tylko, ostatnią prośbę: niech mi wolno będzie raz jeszcze widzieć i pożegnać Łucyę.

— Abyś starał się skłonić ją do jakiejś niedorzecznej obietnicy... że będzie na ciebie czekać... lub też coś podobnego, odpowiedział trochę opryskliwie.

— Czy nie zaręczyłem panu że możesz polegać na mnie, odpowiedział z żywością Karol, a po chwili zawołał, niezdolny ukrywać dłużej swej boleści: Czy nie widzisz tego, pułkowniku, jak strasznym dotknąłeś mnie ciosem? Pozwól nam się pożegnać.

Pułkownik Cleeve znalazł się w kłopotliwem położeniu, przykro mu było odmówić, a nie miał ochoty zezwolić! Ale widział rozpacz Karola Andinian, domyślał się że i Łucya musiała zostawać pod jej wpływem, a bądź co bądź miał litościwe serce.

— Chcę ci zaufać, panie Andinian; chcę wierzyć że tak obecnie jak w przyszłości będziesz postępować jak człowiek honorowy. Zezwalam, ale niech to będzie tylko pożegnanie, i pożegnanie krótkie.

Wyszedłszy z biblioteki przysłał tam Łucyę.

Lepiej byłoby dla obojga gdyby byli uniknęli tego ostatniego widzenia, równającego się przedśmiertelnemu pożegnaniu.

Łucya weszła spokojnie, aż nagle zatrzymała się drżąca i wzruszona.

— Łucyo, nie mogłem przemódz na sobie aby odjechać nie zobaczywszy cię, nie błagając o przebaczenie, rzekł Karol, a w głosie jego drgała boleść i wzruszenie... Zawiniłem przez niezastanowienie... powinienem był przewidzieć to co nas spotyka... Dałem słowo ojcu twemu że nigdy nie będę usiłował zobaczyć się z tobą... że odtąd oboje obcemi będziemy dla siebie. O! najdroższa moja!— wolno mi przecież po raz ostatni tak cię nazwać,— jakże to okropne, jak straszne... nietylko dla mnie, ale lękam się że i dla ciebie...

Zbliżyła się utkwiwszy w niego oczy napiętnowane tak bezmiernym smutkiem, iż ten żar boleści osuszał łzy.

— Wiem już, Karolu, że nie ma dla nas nadziei.., ale chciałam powiedzieć ci...

Tchu jej zbrakło, głos w cichy szept się zamienił, — że nie zapomnę o tobie nigdy... nigdy! że do ostatniej życia chwili będziesz jedynym przed-

miotem moich myśli i uczuć! — I mówiąc to wyciągnęła ku niemu rękę.

Ujął jej dłoń, a po chwili objął wpół i przycisnął do serca. Serce pękało mu z boleści, jednakże pamiętając na dane pułkownikowi przyrzeczenie, nie powiedział ani słówka nadziei.

— Przebacz mi, ukochana... przebacz obecne i dawniejsze moje postępowanie... Sam nie wiem co robię... wszakże to ostatnie nasze widzenie!...

— Później... kiedyś, gdy zestarzejemy się oboje, nie będą nam bronić widywać się z sobą, odpowiedziała zanosząc się od płaczu. O! tak, ukochany mój! wtedy wolno nam już będzie mówić o tem lepszem życiu, gdzie nie ma ani łez ani rozłączenia... Wtedy stać będziem już oboje w progu wieczności, blizcy wiekuistego szczęścia w niebie, które stanie się już jedynem naszem pragnieniem i celem.

Zapukano lekko do drzwi i weszła miss Blake, przychodząca po Łucyę. Zobaczywszy co się dzieje, łzy, wzruszenie miotające obojgiem, ręce złączone gorącym uściskiem, przybrała nadzwyczaj poważną i surową minę.

— Łucyo, rzekła, pułkownik i mistress Cleeve przysyłają mnie po ciebie; chodź proszę.

— Bóg z tobą, Łucyo, szepnął Karol, Jego opiece cię polecam, niech ci błogosławi i czuwa nad tobą zawsze i wszędzie! Łucyo, kochanko moja!... żegnam cię na zawsze!...

Poczem ukłoniwszy się miss Blake—jak jej się zdawało nader zimno—i nie mówiąc do niej ani słowa, gdyż w tej chwili przechodziło to jego siły, porucznik Andinian wybiegł do przedpokoju, i tam prędko przypasawszy szpadę, wziął kapelusz i wyszedł.

Łucya ukrywszy twarz w dłonie, gorzko płakała.

— Cóż mam powiedzieć rodzicom, kochana Łucyo? rzekła miss Blake.

— Powiedz że porucznik Andinian odszedł już, a ja pragnę czas jakiś pozostać sama.

Teresa odeszła zacinając usta; cierpiała teraz najboleśniej jak kobieta cierpieć może. Nikt nie wiedział jak strasznym została dotknięta ciosem, przekonywając się że miłość Karola dla niej była tylko mrzonką jej wyobraźni; — boleść wzbudzona tym zawodem, do końca życia towarzyszyć jej miała; ileż to kobiet przypłaca śmiercią podobne rozczarowanie!... Zostawała jej jednak kropla pociechy na dnie tego kielicha goryczy; *on* i ukochana jego przed chwilą pożegnali się na zawsze.

— Za kilka tygodni, może choćby za kilka miesięcy—gdy już szaleństwo to wywietrzeje mu z głowy, mówiła sobie, może znów będziemy dobrymi przyjaciołmi. Tak... kto wie? nie ma niepodobieństwa aby złączyło nas daleko droższe, gorętsze uczucie... Jego miłość dla tego dziewczęcia, to po prostu przelotny kaprys... O tak! droższe i gorętsze uczucie, szeptała z lubością, przechodząc przez przedpokój.

— Łucya zapewnie niedługo nadejdzie, nie ma zresztą nic pilnego, pan Andinian już odszedł, rzekła wszedłszy do pokoju mistress Cleeve.

— Cóż ona porabia, Tereso?

— Zdaje mi się, płacze rzewnie, zaledwie mi odpowiedziała. Ktoby był przypuścił że jest tak nierozumna?

Mistress Cleeve udała się zaraz do biblioteki. Charakter jej, pod wielu względami, odpowiadał najzupełniej charakterowi męża. Oboje byli dobrzy, łagodni, spokojni, unikający wszystkiego co komuś boleść lub przykrość sprawić mogło, bardzo kochali córkę, ale tak napuszeni i przejęci ważnością swego stanowiska w świecie i znakomitością urodzenia, iż wierzyli ślepo że wszystko ustępować im powinno.

— Łucyo, dziecię moje, rzekła do córki, to było niezbędnem. Jesteś tak rozsądna iż niezawodnie pojmujesz prawdę słów moich; ale żal mi cię z całego serca, i do końca życia wyrzucać sobie będę moją nieprzezorność, że zezwoliłam na tak blizką znajomość z panem Andinian... Jak mogłam nie widzieć i nie przewidzieć wszystkiego!

— To nic... nic... to przejdzie... wyjąkała Łucya przerywanym głosem.

— Tak, tak, moje dziecko, to przejdzie i wszystko będzie dobrze. Mam nadzieję że za jaki rok pójdziesz świetnie za mąż, będziesz szczęśliwa i zapomnisz zupełnie o tej mrzonce... Nie chcielibyśmy prędko rozstać się z tobą, nie, ale przedewszystkiem pragniemy twego szczęścia i zadowolnienia.

Łucya ścisnęła rękami czoło i spojrzała na matkę: oczy jej wyrażały wątpliwość graniczącą ze zdumieniem.

— Matko, rzekła powoli, zapewne źle cię zrozumiałam. Stosując się do twojej i ojca woli, zerwałem z panem Andinian, i mam nadzieję że wolę tę zawsze uszanować będę umiała. Powiedzieliście mi że jest to moim obowiązkiem, że tego wymaga wasze stanowisko—byłam posłuszną. Ale co do pójścia za mąż, to rzecz całkiem inna... pod tym względem najsilniejsze namowy i nalegania byłyby daremne—nigdy i za nic w świecie nie zgodziłabym się na to.

Mistress Cleeve zrozumiała że i teraz zawiniła nieprzezornością. Czyż należało nadmieniać o zaślubieniu innego, wtedy właśnie gdy Łucya tak boleśnie czuła rozłączenie z ukochanym. Westchnęła i ujawszy ręce córki, zatrzymała je w swoich.

— Posłuchaj mnie, Łucyo, rzekła po chwili zniżonym głosem, chcę opowiedzieć ci ustęp z moich lat młodocianych. I ja także miałem, jak to mówią, swój romans, a bohater jego był równie piękny i ujmujący jak p. Andinian, ale okoliczności nie sprzyjały i trzeba było zerwać. I mnie także zdawało się że od owej chwili życie nie ma już dla mnie żadnego celu ani powabu, zarzekałam się że odtąd już nikt inny nawet uwagi mojej nie zwróci, że nigdy nie pójdę za mąż. Otóż, droga Łucyo, bardzo niedługo potem poznałam pułkownika Cleeve, i zanim przemówił oznajmiając swoje uczucia i prosząc o moją rękę, polubiłam go już bardzo... i zostałam jego żoną.

— I... kochałaś go? zapytała Łucya zdziwiona niewymownie.

— No, nie! To jest przynajmniej nie taką miłością jak tamtego — nie taką, jak sądzę, jak ta którą czujesz dziś dla pana Andinian, bo podobne uczucie raz tylko budzi się w sercu... A jednak mimo to, byłam i jestem jak najszczęśliwszą żoną, bo widzisz, dziecię moje, gdy wielki ten płomień raz już przygaśnie, nastaje spokój i rozum odzyskuje swoje prawa. To też, wierzaj mi, Łucyo, gdy pójdziesz za mąż, doświadczenie jakie ci nada to przejście z panem Andinian, przyczyni się właśnie do twego szczęścia.

Łucya nic nie odpowiedziała, ale nie zmieniła swego postanowienia. Mistress Cleeve winszowała sobie że ma tak przykładną córkę.

Nazajutrz pułkownik odebrał od Karola list pełen taktu i uczucia zarazem. Jakkolwiek cierpiał niewymownie nad tem rozłączeniem, szanował powody jakie je wywołały. Do listu tego dołączył niezapieczętowany bilecik do Łucyi, aby, w razie chęci, pułkownik mógł przeczytać go przed oddaniem. Tak też uczynił; nie dla tego aby nie dowierzał Karolowi, ale że, jak mówił, „strzeżonego Pan Bóg strzeże”. Bilecik zawierał tylko kilka wierszy, napisanych z większym spokojem niż wczorajsza rozmowa; przesyłał w nich Łucyi ostatnie pożegnanie. Pułkownik kazał oddać córce obydwa listy, poczem zatonął w głębokiem rozmyślaniu, z którego zbudziło go do dopiero przybycie żony.

— Łucyo rzekł, co to za szlachetny młodzieniec!... piękne zasady, prawość charakteru, wzniosłość serca, to prawdziwie wyższy człowiek! Co za szkoda że nie ma ani majątku ani tytułu!...

— Ale kto taki? zapytała nie wiedząc o kim mówi.

— Porucznik Andinian, odpowiedział.

III.

Przed zachodem słońca.

Słońce czerwcowe przyświecało jasno na pogodnem błękicie nieba; róże pięknym pokryły się kwiatem. Mistress Andinian nie wiedząc nic o smutku jaki dotknął jej młodszego syna, zajmowała się, tak przynajmniej się jej zdawało, zapewnieniem doskonałego domowego szczęścia starszemu. Co prawda choćby nawet wiedziała jaki smutek dotknął Karola, zaledwie przelotną zwróciłaby na to uwagę.

Teraz znów doskonały spokój panował w domu; niezadowolnienie mistress Andinian z powodu młodej sąsiadki ustało zupełnie; mówiła o tem z Adamem surowo i poważnie, tak surowo jak się to todąd nigdy jeszcze nie zdarzyło, przedstawiając jak było niedorzecznem i niestosownem, aby przyszły baronet, mający blisko trzydzieści trzy lata, tracił czas na czczych rozmowach z dziewczyną zajmującą tak podrzędne względem niego stanowisko. Adam słuchał milcząc, lekki uśmiech igrał na jego ustach. Nareszcie rzekł żartobliwie:

— Jeźli się nie mylę, wszystko to ma dać mi do zrozumienia iż za nic w świecie nie zezwoliłaby mama na to, aby miss Turner została moją żoną?

— Nigdy! nigdy!... w takim razie musiałbyś wybierać między nią a mną—nie przeżyłabym tak niestosownego związku... A ty nie chciałbyś popchnąć mnie do grobu... wszak zawsze byłam dla ciebie najlepszą, najprzywiązańszą matką!...

— Dajmy temu pokój, kochana matko; nie kłopocz się bez powodu.

Rozmowa ta miała miejsce w kwietniu, podczas krótkich odwiedzin Karola, i od owej chwili mistress Andinian przestała się niepokoić. Może Adam nie spotykał się już tak często z młodą dziewczyną, a może tylko zachowali większą ostrożność. W miesiącu maju, miss Turner pojechała gdzieś w odwiedziny; Adam zdawał się nie myśléć o niej wcale i mistress Andinian najzupełniej zapomniała o swoich obawach.

Od sir Józefa nie było ani słówka; zniecierpliwiona, mistress Andinian, napisała do Foxwood, oświadczając chęć przybycia tam z Adamem. Nareszcie po dwóch tygodniach odebrała kilka wierszy odpowiedzi, skreślonych drżącą ręką sir Józefa. Donosił że był bardzo niebezpiecznie chory, a chcąc sam odpisać, spóźnił się z odpowiedzią. Teraz był już znacznie lepiej, zaczynał odzyskiwać siły, i miał nadzieję iż wkrótce o tyle przyjdzie do siebie, że będzie mógł przyjąć mistress Andinian i jej syna, o czem zawiadomić ich nie omieszka. Pragnąłby jak najprędzej wyzdrowieć aby mieć przyjemność przyjąć ich u siebie i zarazem poznać swego spadkobiercę.

List ten nadszedł 1 czerwca; od owego czasu upłynęło już trzy tygodnie a żadnego nie było zawiadomienia. Mistress Andinian zaczynała się już niecierpliwić. Codziennie budząc się, najpierwszą jej myślą było: czy też dziś nadejdzie list z Foxwood? i teraz siedząc przy otwartem oknie swego pokoju, przez które dochodziły do niej cudowne wonie kwitnących kwiatów, tą myślą wyłącznie była zajęta.

Śniadanie podawano zwykle o bardzo wczesnej godzinie, bo tak chciał Adam, który lubił rano wstawać. Gdy mistress Andinian zeszła do sali jadalnej, zastała w niej już syna przerzucającego jakieś nowe dzieło o ogrodnictwie. Miał na sobie szary garnitur, a matce, która nie widziała go kilka dni, gdyż wyjeżdżał gdzieś w okolice, wydał się dziś zdrowszym, weselszym, piękniejszym niż kiedykolwiek.

— Dzień dobry, Adamie.

Zbliżył się powitać matkę; piękne jego oczy promieniały szczęściem; mistress Andinian przypatrywała mu się z rozkoszą.

— A co też to za niedorzeczności piszą ludzie niedostatecznie obeznani z przedmiotem; w przeciągu kwandransa napotkałem już z pół tuzina niedorzeczności, rzekł śmiejąc się wesoło:

— Czy tak? cóż to za książka?

— Pokazał jej tytuł otwartej książki, mówiąc:

— Kupiłem to wczoraj w księgarni na kolei żelaznej.

— Cóż to za śliczny poranek! rzekła mistress Andinian, przysuwając filiżanki.

— Rzeczywiście; dwie godziny dziś już pracowałem w ogrodzie. Wszak to wigilja ś. Jana?

— Adamie, zdaje mi się że to listonosz nadchodzi; słyszę jego kroki tuż przy drzwiach.

— Zapewnie list od Karola, rzekł obojętnie, znowu zajęty czytaniem.

Wszedł Hewitt; jeden tylko list przyniósł na srebrnej tacy i podał go panu. Zajęty czytaniem, Adam wziął list i nie patrząc położył przed sobą na stole. Drgnął usłyszawszy krzyk jaki wydarł się z piersi matki. Pochwyciła list wlepiając oczy w adress, gdyż żaden jeszcze list nie przyszedł pod takim:

(Sir Adam Andinian, baronet.)

— Ah! Adamie, Adamie! więc stało się nareszcie!

— Co się stało? zapytał zdziwiony. A! rozumiem; zapewnie sir Józef umarł... Szkoda.. biedny starowina!

Mistress Andinian nie myślała o śmierci sir Józefa, ale o tem co list zawierał; oto co wyczytała:

Foxwood, 22 czerwca.

„Z boleścią serca, przychodzi mi zawiadomić szanownego pana, o śmierci ukochanego mego przyjaciela, którego pielęgnowałem od lat tylu. Zdawało się że zdrowie jego poprawia się powoli ale stanowczo, tymczasem umarł nagle i niespodziewanie. Oczekując przybycia pana, pozwoliłem sobie wydać niektóre rozporządzenia.

„Racz sir przyjąć zapewnienie głębokiego poważania.

William Moore."

Śniadanie skończyli w milczeniu; mistress Andinian zatopiona była w rozmyślaniu i projektach. Sir Adam jadł zaczytany w swej książce, i zdawał się żadnej nie przywiązywać wagi do odziedziczonego tytułu.

— Kiedyż wyjeżdżasz?... Adamie?

— Miałbym wyjeżdżać?... zawołał podnosząc głowę; ach! prawda!... do Foxwood!... no! za dzień lub dwa.

— *Za dzień lub dwa!* powtórzyła niemal z osłupieniem. Jakto? co ty mówisz... Adamie?

— Nic więcej nad to co powiedziałem, odrzekł spokojnie.

— Ależ powinniśmy wyjechać za pół godziny, to rzecz konieczna!

— Nie widzę zupełnie tej konieczności, odpowiedział, cóż tak pilnego?

— Ależ, Adamie, musimy jechać niezwłocznie.

— Po co? odrzekł obojętnie. Gdyby sir Józef był umierającym i żądał mnie widzieć, nie tracąc minuty czasu, pojechałbym natychmiast—ale, obecnie to zupełnie co innego. Na nieszczęście biedak sir Józef już nie żyje, nie widzę więc powodu takiego pośpiechu.

— Przecież trzeba koniecznie żeby ktoś z nas był obecnym.

— A to na co? Ten pan Moore co pisał do mnie, pewnie poczciwy jakiś doktor wiejski, zajmie się przygotowaniami do pogrzebu.

— Ale dla czegoż nie miałbyś jechać natychmiast, Adamie? zapytała; cóż cię tu zatrzymuje?

— No... nic mnie nie zatrzymuje — ale znieść nie mogę takich nagłych wyjazdów—a potem... dopiero dziś znalazłem się w moim ogrodzie, po kilkodniowej nieobecności.

— Ogród!... to mi dopiero ważny powód! pomyślała z niezadowolnieniem. Adam czytał nie podnosząc oczu od książki.

— Adamie, jeźli nie pojedziesz, to ja pojadę.

— A! i owszem, kochana matko, jedź jeźli masz ochotę; zabierz z sobą Hewitt'a. Wiesz jak nie nawidzę wszelkich interesów i rozporządzeń, będę ci więc nieskończenie wdzięczny, jeźli zechcesz pojechać do Foxwood i zająć się tem wszystkiem. Napisz mi parę słów kiedy pogrzeb ma się odbyć a przybędę niezwłocznie.

Nigdy jeszcze w życiu mistress Andinian nie uczuła takiego żalu do swego ukochanego syna, jak w tej chwili. Z gorączkową niecierpliwością oczekiwała przyszłości, a teraz gdy nadeszła nareszcie, ten, dla którego pragnęła tego majątku, przyjmował go tak obojętnie. Ileż to razy przedstawiała sobie w myśli tę podróż do Foxwood obok ukochanego syna, dla objęcia spadających na niego posiadłości,—a oto on jechać nie chce.

— Obecność choć jednego z was jest nieodzowną, rzekła, jeźli ty nie pojedziesz Adamie, każę telegrafować do Karola.

— Zaraz sam się tem zajmę, odrzekł z wyraźnem zadowolnieniem. Karol stokroć lepiej zna się na interesach ode mnie; dam mu najrozleglejsze pełnomocnictwo, niech się rozporządza jak gdyby on był spadkobiercą. Zostaw mu zupełną swobodę, kochana matko, sama nie trudź się i nie kłopocz, a wszystko będzie dobrze.

Sir Adam Andinian trwał niezachwianie w postanowieniu nie ruszenia się z miejsca, co widząc mistress Andinian, wstała kwaśna od stołu, wybrała się natychmiast i udała się na stacyę kolei, aby odjechać najpierwszym pociągiem. Adam odwiózł ją na stacyę, zajął się kupnem biletu i oddaniem rzeczy, gdyż nie chciała wziąść z sobą Hewitta, poczem zatelegrafował do Karola, aby udał się za matką do Foxwood. Podczas gdy mistress Andinian i depesza telegraficzna pędziły każda w swoim kierunku, nowy baronet spędzał szczęśliwe chwile wśród ulubionych swoich kwiatów, strzelając niekiedy do ptaszków, które ośmielały się dziobać nowo rozkwitające pączki.

Porucznik Andinian odebrał wysłaną depeszę; ale zgodnie z fatalnym zwyczajem biór telegraficznych, nie zalecała się zbytnią jasnością. Przeczytał że sir Józef umarł, że matka wyjechała czy wyjeżdża do Foxwood, że oczekuje na niego i że ma jechać natychmiast. Ale czy jechać do niej aby jej towarzyszyć do Foxwood, czy wprost tam się udać—tego zrozumieć nie było można, skutkiem nieuwagi i niedbalstwa urzędników, gdyż Adam podyktował telegram jasno i zrozumiale.

— I co tu począć? pytał, czytając i odczytując telegram—ale daremnie, pomieszczone wyrazy zupełnie go nie objaśniały. Postanowił więc jechać do matki, myśląc sobie: Adam pewnie natychmiat pojechał do Foxwood; matka nie mogąc pewnie wybrać się tak prędko, oczekuje na mnie abym jej towarzyszył. Biedny stryj Józef! umarł zupełnie nam nieznany, nie widziałem go nigdy w życiu!

Pan Andinian z łatwością dostał urlop i zaraz wyjechał. Był nieco zmieniony. Choć miesiąc zaledwie upłynął od czasu ostatniego pożegnania z Łucyą Cleeve, na czole jego wyryło się piętno przebytych cierpień. Koledzy jego, oficerowie, widząc go ciągle smutnym i zamyślonym, zajętego tem jedynie aby jak najściślej wypełniać obowiązki swego powołania, żartowali z niego że złą obrał drogę, że przecież można życie zapełnić czemś lepszem i milszem jak musztry, manewra i parady. Nie wiedzieli że w sercu jego zrodziła się miłość zapełniająca je nadziemską rozkoszą, a świat ten czyniąca rajem, nie wiedzieli o tragicznem rozwiązaniu bolesnego tego dramatu.

Zapadała noc Świętojańska gdy Karol dojeżdżał do domu matki. Zostawił tłomoczek na stacyi, z poleceniem aby mu go odesłano, a sam przez pole poszedł piechotą. Błyszczące promienie zachodzącego słońca znikły już na zachodzie, ale szerokie złociste smugi oświecały jeszcze niebo w niektórych miejscach. Cisza i spokój panowały w powietrzu; gwiazdy ukazywały się tu i owdzie na firmamencie; księżyc zaczynał wyłaniać się po nad horyzontem. Ścieszka przez pole szła równolegle od traktu. Nagle wśród ciszy zmroku uderzył porucznika Andinian jakiś szmer podobny do odgłosu kroków zbliżającego się tłumu.

— Co to być może? pomyślał, i zatrzymał się chwilę, przyglądając się parę minut z po za płotu odgradzającego drogę. O ile można było dostrzedz w ciemności, zdawało mu się że poznaje ajentów policyjnych, idących przodem swoim miarowym krokiem, a tuż po za nimi jakąś zbitą gromadę ludzi—ale za ciemno było aby mógł rozeznać wyraźnie przedmioty.

— Jakiś biedny więzień, którego ujęto na wsi i prowadzą do miasta, pomyślał sobie i poszedł dalej.

— Oto prawdziwa noc Świętojońska, rzekł w duchu, rzucając okiem na fanastyczne cienie padające od drzew i płotów, gdy już szmer głosów i odgłos kroków znikł w oddali. Brakuje tylko duchów któreby się ukazać powinny... A! doprawdy nie pamiętam czy to właśnie w noc Świętojańską wracają one na ten padoł płaczu i pokazują się ludziom... Tak, dziś według ludowego zabobonu, młode i przechadzające się w tym celu dziewczęta, ujrzą w powietrzu postać swego przyszłego... tak... tylko że dziś wszelkie podobne mrzonki i wróżby nic mnie już nęcić nie mogą.

(D. c. n.)

Tygodnik Mód. Ubiory i Roboty. Dodatek do N. 11. 1882 r.

Opis do N-ru 11.

N. 1. Ubranie dla małego chłopczyka.

Po ubraniu dziecinnem jednakowem dla chłopczyka lub dziewczynki, matki zwykle przed obcisłem ubraniem łożonem z kurtki, kamizelki i majtek, dają nosić sukienki fał-



N. 4. Sukienka balowa z draperyą haftowaną.

dowane krótkie, dopełnione takiemiż majteczkami. W lecie można dać majteczki białe; krój ubrania znajduje się w końcowych przeszłorocznych Numerach. W pasię sukieneczka przewiązuje się sznurem z kwastami, przytrzymanym z boków przez dwie patki.



N. 1—3. Ubrania dla dzieci.

N. 1. Suknia fałdowana dla chłopczyka. N. 2. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu Nr. II. fig. 5—11. N. 3. Sukienka z szarfą.

N. 2. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu N. II, fig. 5—11.

Spódniczka kaszmirowa, o ile ją widać, zagarnirowana jest bufkami i u dołu zakończona wolantem. Vêtement z aksamitnym plastronem ma takiż kołnierz, mankiety i kieszonki.



N. 5. Suknia wizytowa z vêtement. Patrz ryc. 36.

N. 3. Sukienka z szarfą.

Przykrajana formą princesse, ma plecy z fałdą à la Vateau, a w każdej połowie przodów kontrafałdę 9 cent. szeroką; u dołu sukienki fałdowany wolant, zakończony plisowaniem 4 c. szerokiem. Szarfa 22 cent. szeroka, związana pod fałdą, u dołu pleców; kołnierz i mankiety plisowane. Sukien-



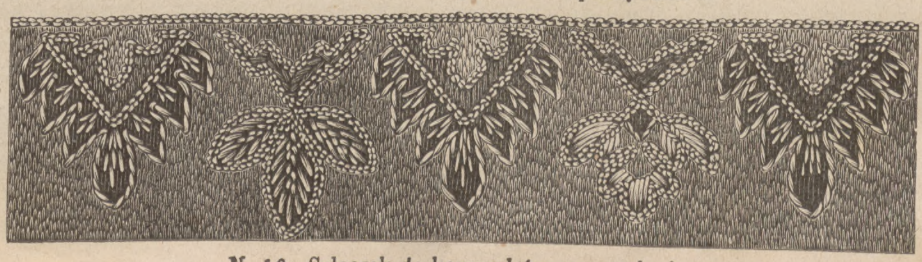
N. 6—7. Ubrania spacerowe z pelerynkami.



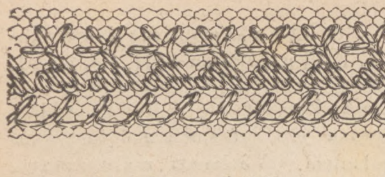
N. 8. Żabot z materyi.



N. 9. Żabot jedwabny z kwiatami i sznelowemi grelotkami.



N. 10. Szlaczek do koszyczków, serwetek i t. p.



N. 11. Koronka wywiedziona na tiulu.

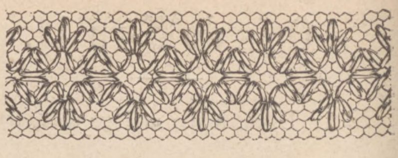
ka ryc. 3 była z materyału w kratę zieloną z niebieskiem, dodatki z granatowego repsu i wielkie guziki z konchy perłowej.

N. 4 Ubranie wieczorowe z haftowaną draperyą.

Bardzo wytwornie przedstawiające się ubranie, składa się ze spódnicy z jedwabnego repsu niebieskawego koloru, garnirowanej dwoma atłasowemi plisowanemi falbankami, po 5 cent. szerokiemi, nad któremi dana bufa oryginalnie przemarszczana podług ryc. 4; w odstępach 6 cent. przemarszczenie zajmuje 2 cent. wzdłuż i wszerz. Na draperyę potrzeba kawałka materyału 56 cent. szerokiego 2 metry długiego, ozdobionego bogatym haftem płaskim. Deseń składa się z szerokiej girlandy różanej, odrobionej naturalnemi kolorami i z wązkiego szlaku danego w zęby odpowiednie do brzegu tuniki, starannie odzierganego; na całem tle rzucone są pojedyncze kwiatki. Na gładką niebieską frendzlę 18 cent. szeroką, spadają kwaściki wiązane z tych kolorów jak w hafcie; baskina stanika również oszyta frendzlą. Stanik ogarnirowany koronką, z przodu spuszczoną do dołu odznaczającą plastron, zdobny haftem.



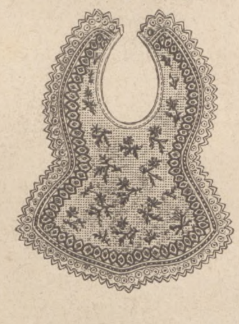
N. 13—14. Kosz na ubranie dla dziecka przykryty serwetą. Patrz ryc. 15.



N. 12. Wszywka tiulowa.



N. 15. Kosz na ubranie dla dziecka. Patrz ryc. 13.



N. 17. Napierśnik haftowany. Krój na ark. N. XI, fig. 28.



N. 19—20. Sukienka dla dziecka. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—14.



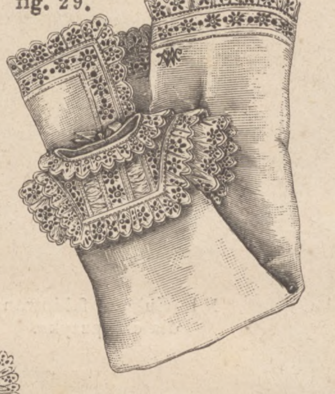
N. 16. Postument do kolebki ryc. 30-31. Krój na ark. N. XII, fig. 29.



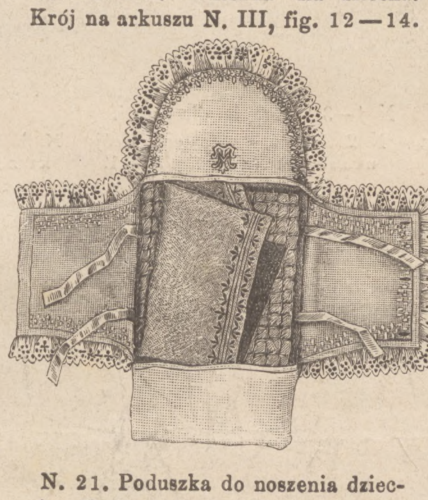
N. 18. Napierśnik z koronką. Krój na arkuszu N. X, fig. 26—27.



N. 25. Wełniana sukienka robiona na drutach. Patrz r. 26 i 27.



N 24. Długa sukienka do poduszki r. 22. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 23-24.



N. 21. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na arkuszu N. VII. fig. 22.



N. 22. Poduszka do noszenia dziecka. Patrz ryc. 21.
N. 23. Długa sukienka dla dziecka noszonego w poduszce. Patrz ryc. 24.

N. 5 i 36. Suknia z vêtement.

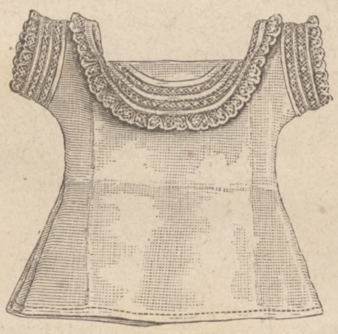
Ubranie przedstawione z przodu i z tyłu na ryc. 5 i 36, odznacza się oryginalnością odrobienia, z małemi odmianami wskazanemi na rycinach. Przy aksamitnem vêtement z przodami sfałdowanemi à panier, z tylnemi brytami tworzącemi szeroką szarfę, można dać spódnicę i rękawy z kaszmiru lub jedwabnej materyi. Spódnica w dolnej połowie przemarszczona jest w bufę, w górnej zaś składa się z plisowania, którego fałdy zebrane są od spodu aby się nie rozlatały. Vêtement może być oszyte koronką lub ozdobione haftem. Efektownie przedstawiają się rękawy złożone z buf przedzielonych fałdkami.

N. 6—7. Ubranie spacerowe.

Ryc. 6 przedstawia ubranie spacerowe, złożone ze spódnicy z draperyą, zakończonej plisowanemi falbankami i ze stanika z baskiną, dopełnionego częściami panier przemarszczonemi drobniutko. Pelerynka atłasowa cała przemarszczana, około szyi i z przodu oszyta plumażem. Na ryc. 7 widzimy suknię z vêtement krótko podpiętem, dopełnionem oryginalną pelerynką, przemarszczoną w ząb z przodu i z tyłu i podpiętą długą kokardą.



N. 29. Płaszczyk z kapturkiem dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. VI, fig. 18—21a.



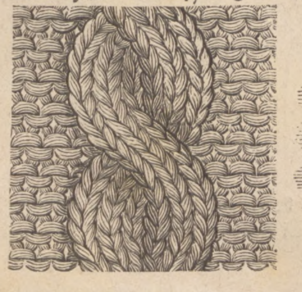
N. 28. Koszulka dla maleńkiego dziecka. Krój na arkuszu N. IX, fig. 25.

N. 16 i 30—31. Kolebka z kotarą. Patrz ryc. 32 w N. 10. Krój kolebki na arkuszu N. XII, fig. 29—30.

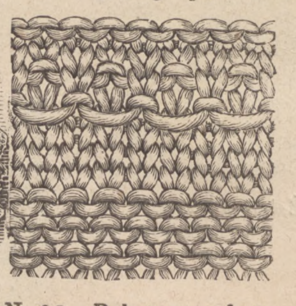
Ryc. 16 przedstawia drewniany postument do kolebki, nie powleczony kolorowym perkalem i bez wspaniałej kotary, która bardzo przyozdabia kolebkę. Boki postumentu opatrzone są mocnemi hakami do zawieszania kolebki. Fig. 29 daje połowę kolebki ze wskazaniem miar szerokości i długości; każdą część potrzeba najpierw przykroić z żaglowego płótna, a następnie pokryć z wierzchu bufowanym a z wewnątrz gładko danym perkalem kolorowym. Szwy dane są do środka i przykryte listewkami, pod które wsuwa się cienkie fiszbiny. Górny brzeg w który także wsunięty jest fiszbin oszyty grubym sznurem kolorowym; takiż sznur służy do zawieszania kolebki. Fig. 30 daje rozmiar materaca odpowiedniego do takiej kolebki, który szyje się z grubego płótna. Kotara uszyta jest



N. 30—31. Kolebka z firanką. Patrz ryc. 16 i ryc. 32 w N-rze 10.



N. 26. Część szlaku na drutach, do ryc. 25.



N. 27. Robota na drutach do ryc. 25.



N. 32. Część deseniu do serwety ryc. 18 w N-rze 10. Haft rozmaitemi ściegami „Parva in magnis”.

z żółtawej kanwy de congrès, zdobna paskami kratki ażurowej i koronką nicianą; ryc. 32 w N. 40 wskazuje w jaki sposób dane kratki i koronka; długość kotary wynosi 308 cent., szerokości zaś 115 cent. Zawieszenie kotary i przyozdobienie kolebki sznurem wskazuje ryc. 30—31.



N. 33. Suknia balowa z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 1 w N-rze 10.

N. 19—20. Sukienka dla dziecka. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—14.

Sukieneczka przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 19—20, uszyta z flanelki, składa się z części przedniej przykrojonej podług fig. 12 i pleców fig. 13. Na wcięciu stanu przody marszczą się od gwiazdki do gwiazdki, a plecy między dwukropkami; w podobny sposób przemarszcza się wykrój szyi przodach i plecach, odpowiednio do obwodu szyi. Rękawy krają się podług fig. 14 i przymarszczają u ręki, a z wierzchu przewiązują wstążką. Z boków tuż przy przemarszczeniu przodów, przyszyte są końce z wstążki 6 cent. szerokiej, związane z tyłu w kokardę.



N. 34. Ubranie wizytowe z chusteczką koronkową. Patrz ryc. 35.



N. 35. Suknia z chusteczką koronkową. Patrz ryc. 34.

N. 36. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 5.



N. 37. Suknia wizytowa z bawetowym stanikiem.

N. 21—22. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na arkuszu N. VII, fig. 22.

Poduszka ta której krój w zmniejszonym formacie daje fig. 22, z wypisaniem miar całkowitej długości i szerokości, odznacza się praktycznością i zasługuje na naśladowanie, gdyż zabezpieczając dostatecznie od wysunięcia, zostawia dziecku większą swobodę ruchów. Podług fig. 22 przykrawa się z kolorowej dymki całą poduszkę w jednym ciągu; na części zaokrąglonej wypadającej pod głowę, dodany jest drugi kawałek 26 cent. długi, który równie jak cała poduszka ogarniorowany jest marszczoną nicianą koronką 6 cent. szeroką i ozdobiony szlaczkiem wyszytym kolorową bawełną.

(D. n.)



N. 38. Suknia z vêtement krótko podpiętem.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 10 i 11.

N. I. Stanik wycięty z bawetem. Rycina 1 w N-rze 10 i ryc. 33 w N-rze 11. Miara objętości przez połowę: 45 cent. w gorsie i 27 w pasie.

Fig. 1. Przód (A, B, E, F, G)

Fig. 2. Boczek (A, B, C, D)

Fig. 3. Połowa pleców (C, D, E, F)

Fig. 4. Rękaw (G, H)

N. II. Vêtement dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 2 w N-rze 11.

Fig. 5. Połowa plastronu (X, *, :)

Fig. 6. Przód (J, K, R, S, T, Y, *, :) założenie formy

Fig. 7. Boczek (J, K, L, M, N, O, Z)

Fig. 8. Połowa pleców (L, M, N, O, P, Q, R, S)

Fig. 9. Rękaw (T, U, V, W)

Fig. 10. Połowa kołnierza (T, X)

Fig. 11. Patka do kieszeni (Y, Z)

N. III. Sukieneczka dla małych dzieci. Ryc. 19—20 w N-rze 11.

Fig. 12. Połowa przodu (a, b, c, d, g, *)

Fig. 13. Połowa pleców (a, b, c, d, e, f, :)

Fig. 14. Rękaw (g, h)

N. IV. Fartuszek z przybraniem w kształcie karczka. Ryc. 11 w N-rze 10.

Fig. 15. Połowa przodu (i, k, l, m)

Fig. 16. Połowa pleców (i, k, l, m)

N. V. Fartuszek z fałdami z przodu. Rycina 10 w N-rze 10.

Fig. 17. Połowa przodów i pleców (n, o, p, q)

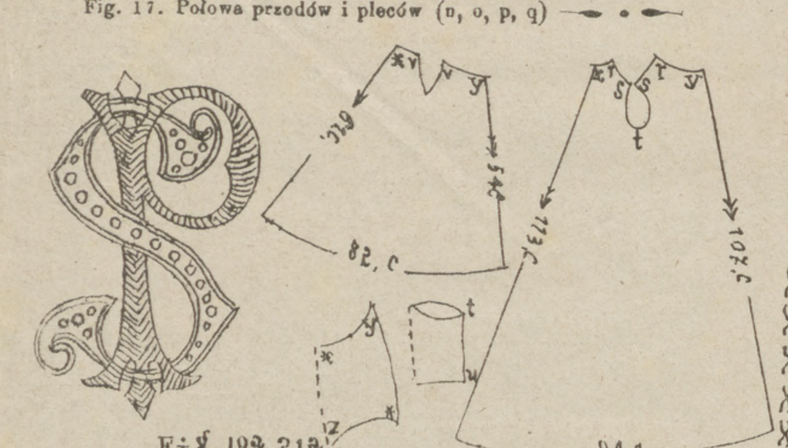


Fig 18a 21a

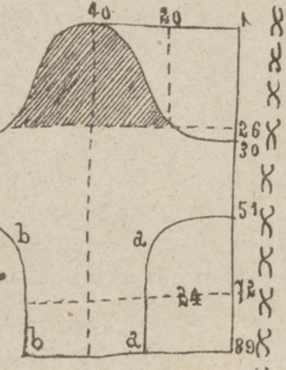


Fig. 22.

N. VI. Płaszczyk z kapturkiem dla małego dziecka.

Fig. 18. Połowa przodu i pleców (r, s, t, x, y)

Fig. 19. Rękaw (t, u)

Fig. 20. Połowa pelerynki (v, w, x, y)

Fig. 21. Połowa kapturka (x, y, z, *)

Fig. 18a—20a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 18—21.

N. VII. Poduszka do noszenia dziecka. Ryc. 21—22 w N-rze 11.

Fig. 22. Wskazanie kroju poduszki.

N. VIII. Sukienka dla dziecka noszonego w poduszce. Ryc. 23 do 24 w N-rze 11.

Fig. 23. Połowa sukienki (1, 2, 3)

Fig. 24. Rękaw (3, 4)

N. IX. Koszulka dla maleńkiego dziecka. Rycina 23 w N-rze 11.

Fig. 25. Połowa koszulki (5, 6, 7, 8)

N. X. Napierśnik z paskiem. Rycina 18 w N-rze 11.

Fig. 26. Połowa napierśnika (9, 10)

Fig. 27. Połowa paska (9, 10)

N. XI. Napierśnik. Rycina 17 w N-rze 11.

Fig. 28. Połowa napierśnika

N. XII. Kolebka i materac. Ryc. 16 i 30—31 w N-rze 11.

Fig. 29. Wskazanie formy połowy kolebki: *a* połowa środkowej części, *b* część boczna, *c* część górna.

Fig. 30. Wskazanie formy materaca.

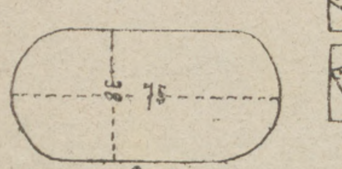


Fig. 30.

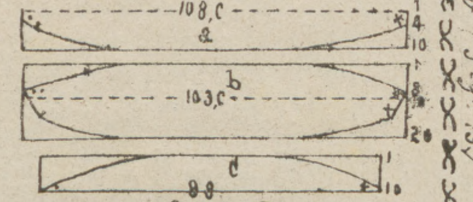


Fig. 29.

Desenie.

Fig. 31. Część deseniu do serwety ryc. 18 w N-rze 10.

Fig. 32. Szlak z narożnikiem do ryc. 18 w N-rze 10.

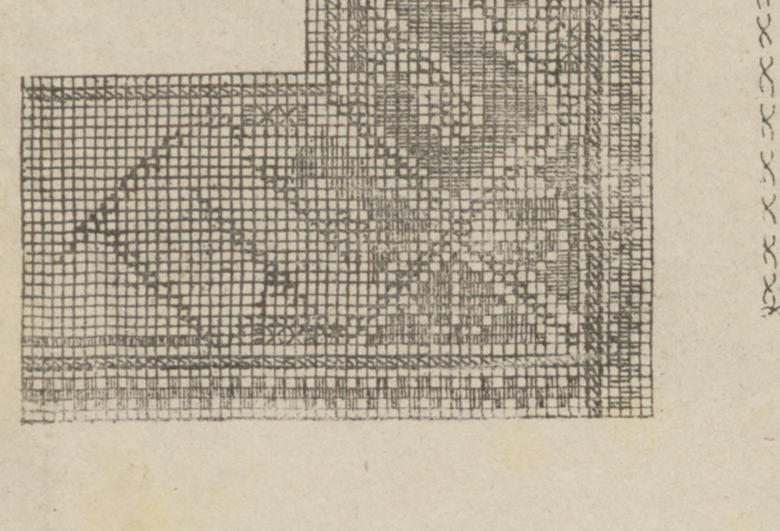
Fig. 33. Narożnik do podnóżka ryc. 31 w N-rze 10.

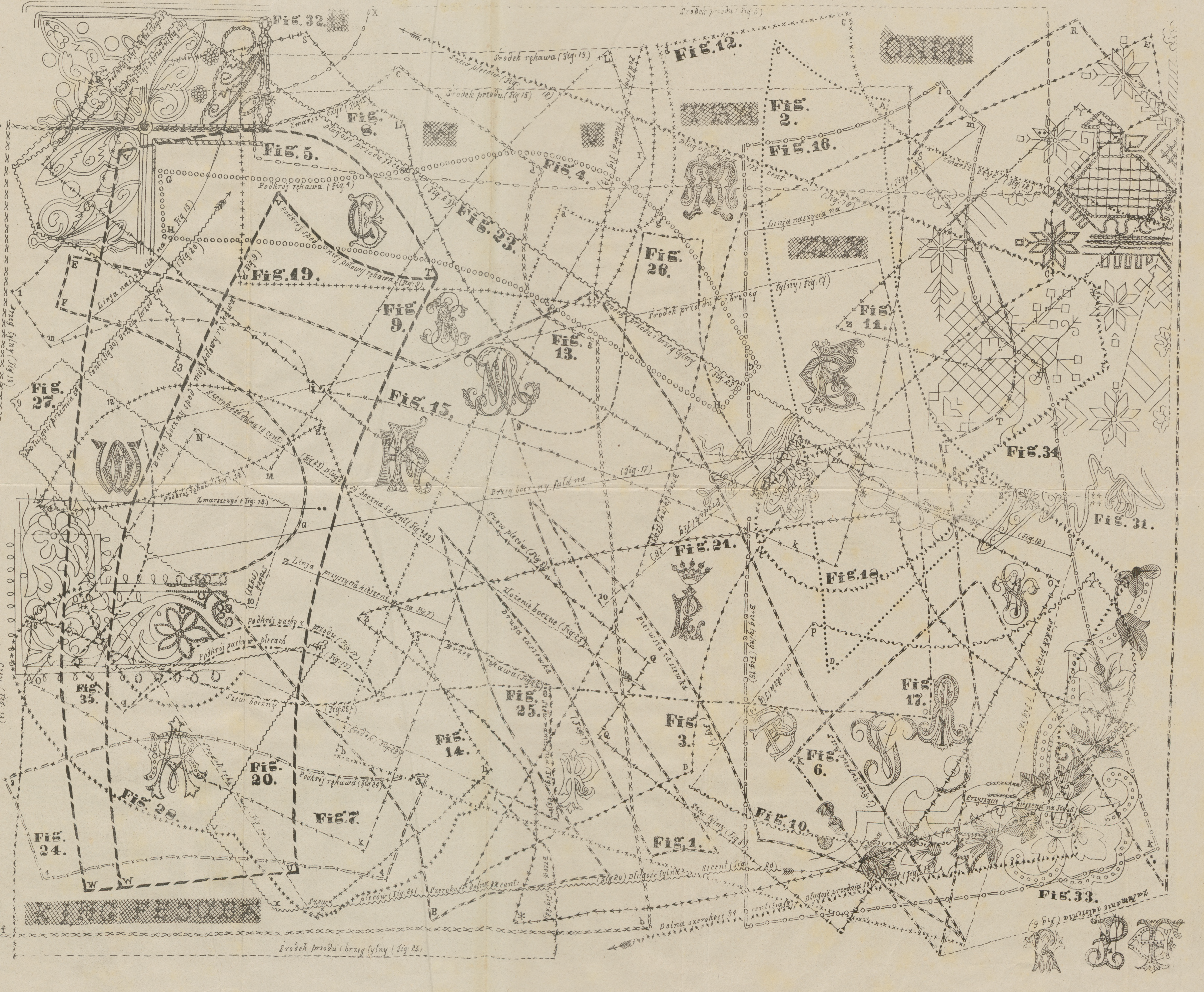
Fig. 34. Czwarta część haftu do ryc. 8 w N-rze 10.

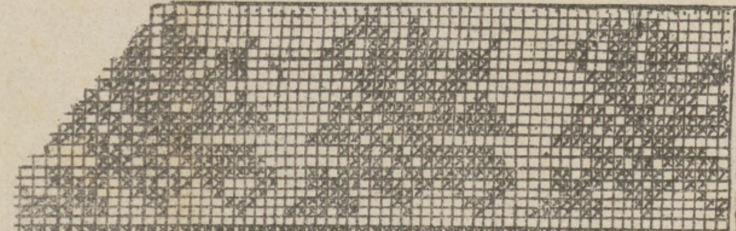
Fig. 35. Czwarta część deseniu do haftu na oprawie albumu ryc. 19 w N-rze 10.

Fig. 36. Narożnik i szlak do serwety ryc. 12 w N-rze 5.

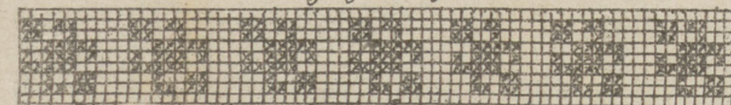
Fig. 36.



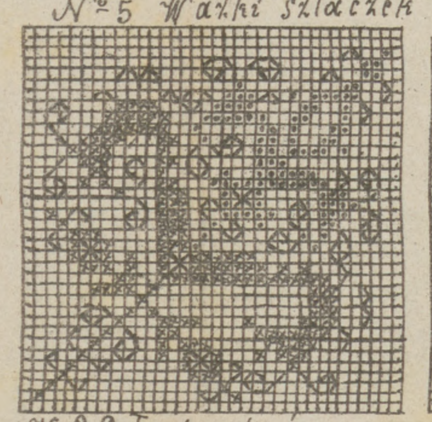




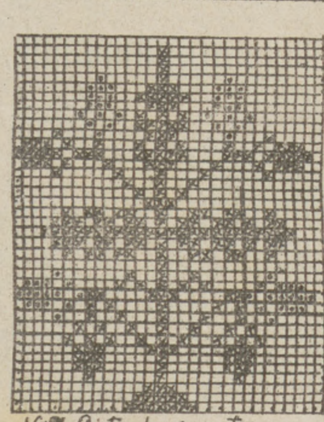
N° 3 Szlaczek krzyżykowy



N° 5 Wązki szlaczek



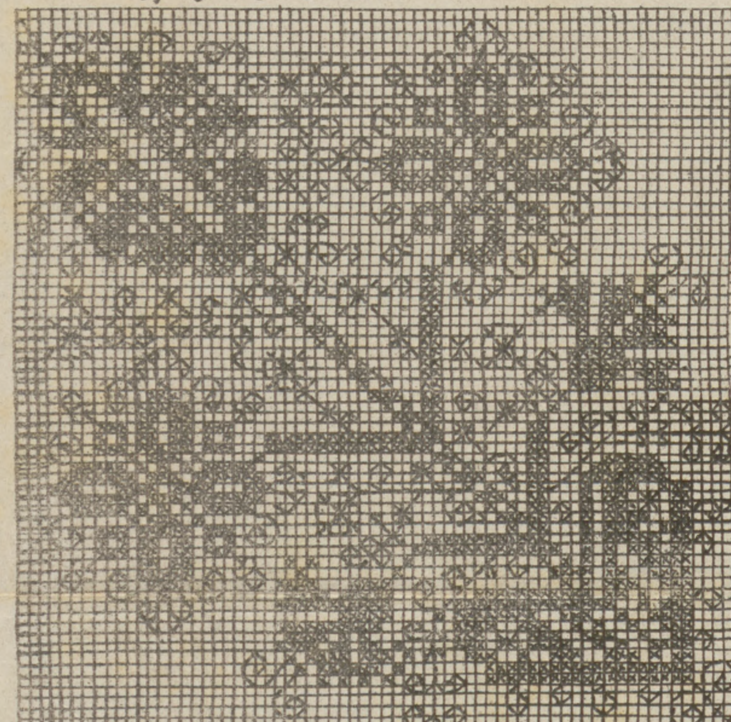
N° 8 Gałązka skośna.



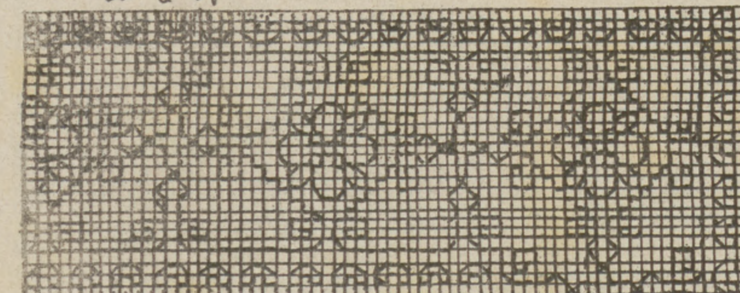
N° 7 Gałązka prosta



N° 6 Szlaczek



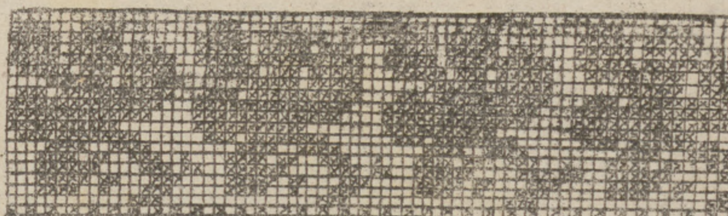
N° 9 Narożnik.



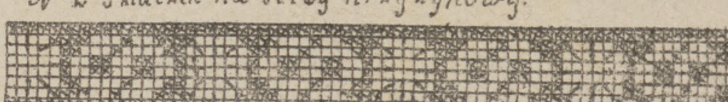
N° 17 Szlak z narożnikiem.



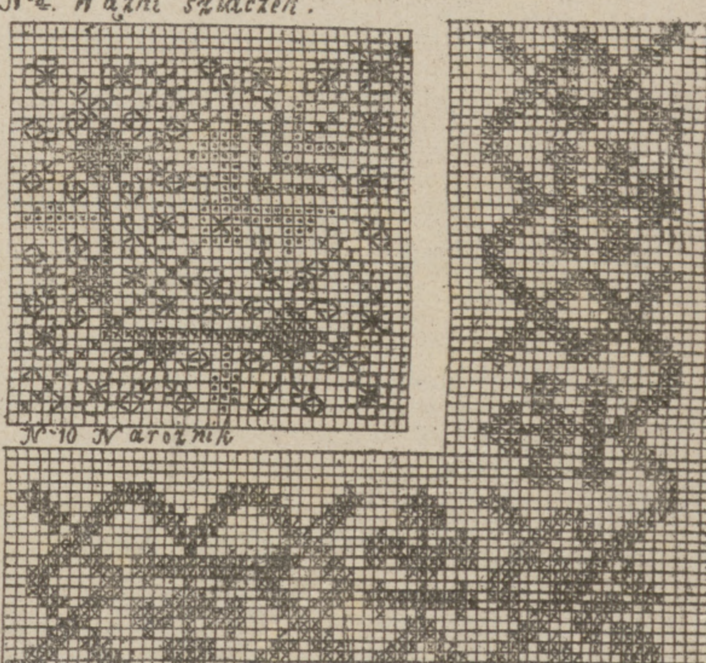
N° 1 Wyszycie na tle serwety ryc: 18 po N^rze 9. Dalszy ciąg desenia patrz ryc: 32 w N° 10 i Fig 31-32 po drugiej stronie arkusza.



N° 2 Szlaczek na ścieg krzyżykowy.

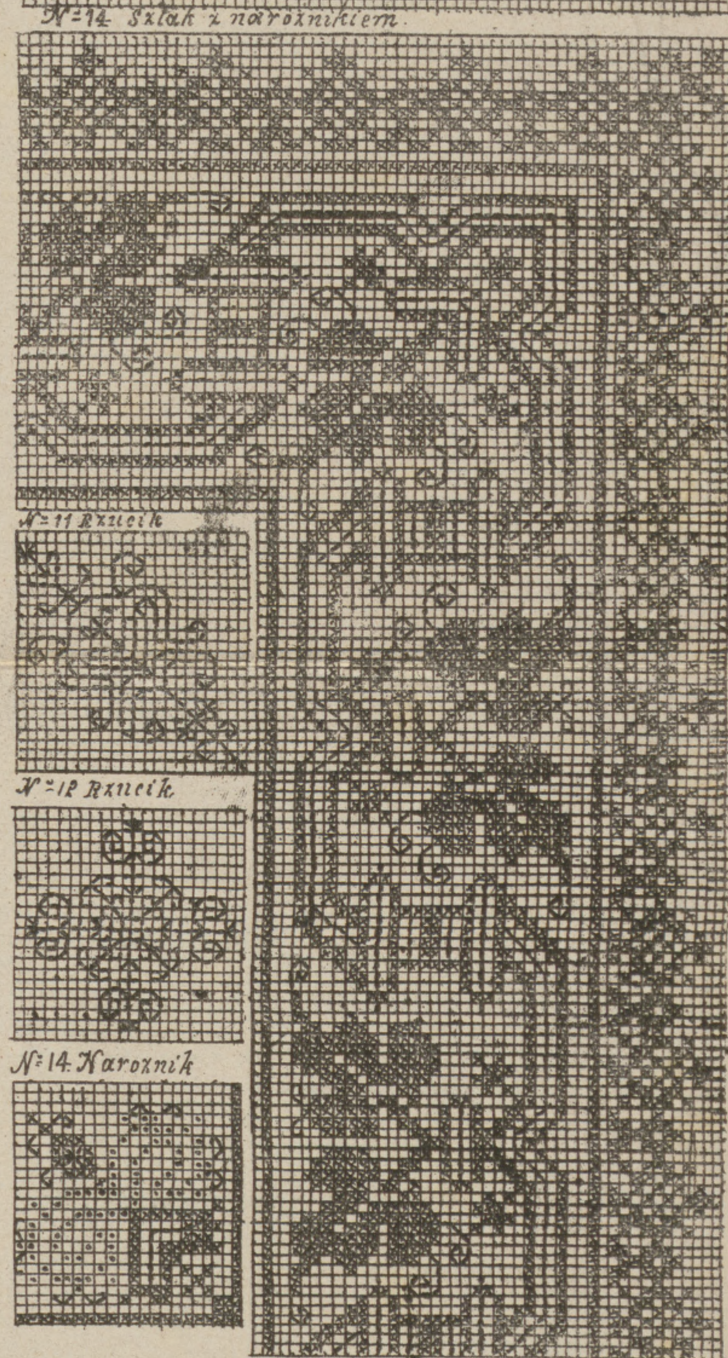


N° 4. Wązki szlaczek.



N° 10 Narożnik

N° 14 Szlak z narożnikiem.



N° 11 Rzucik

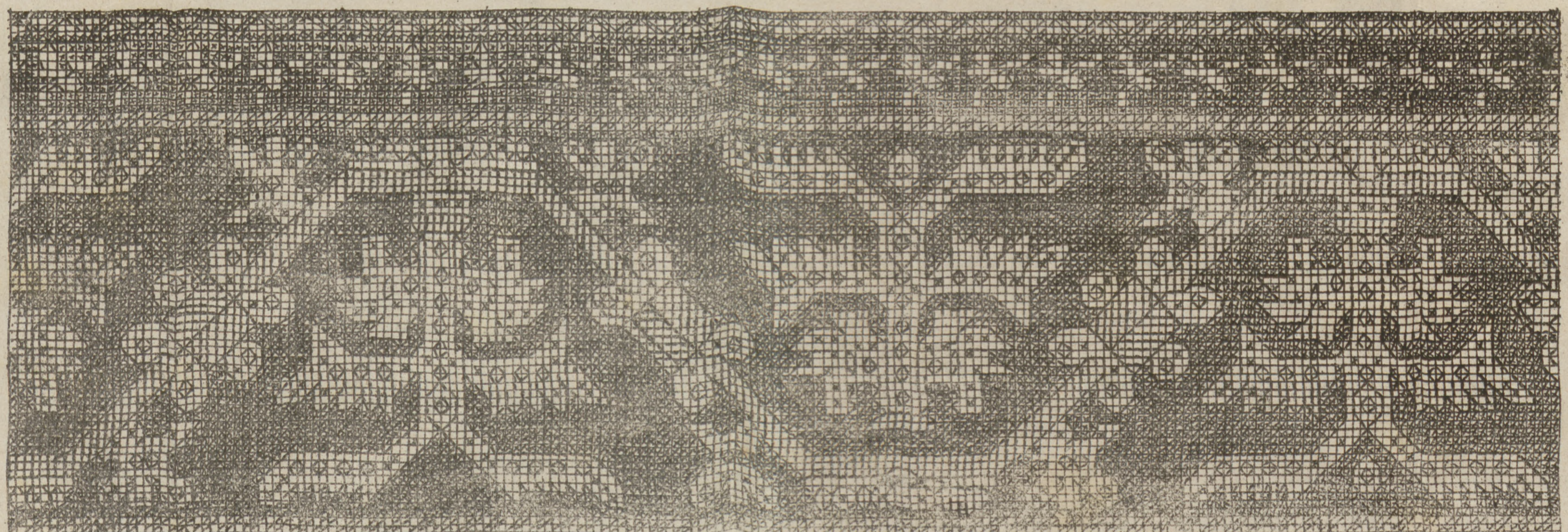
N° 12 Rzucik

N° 14. Narożnik

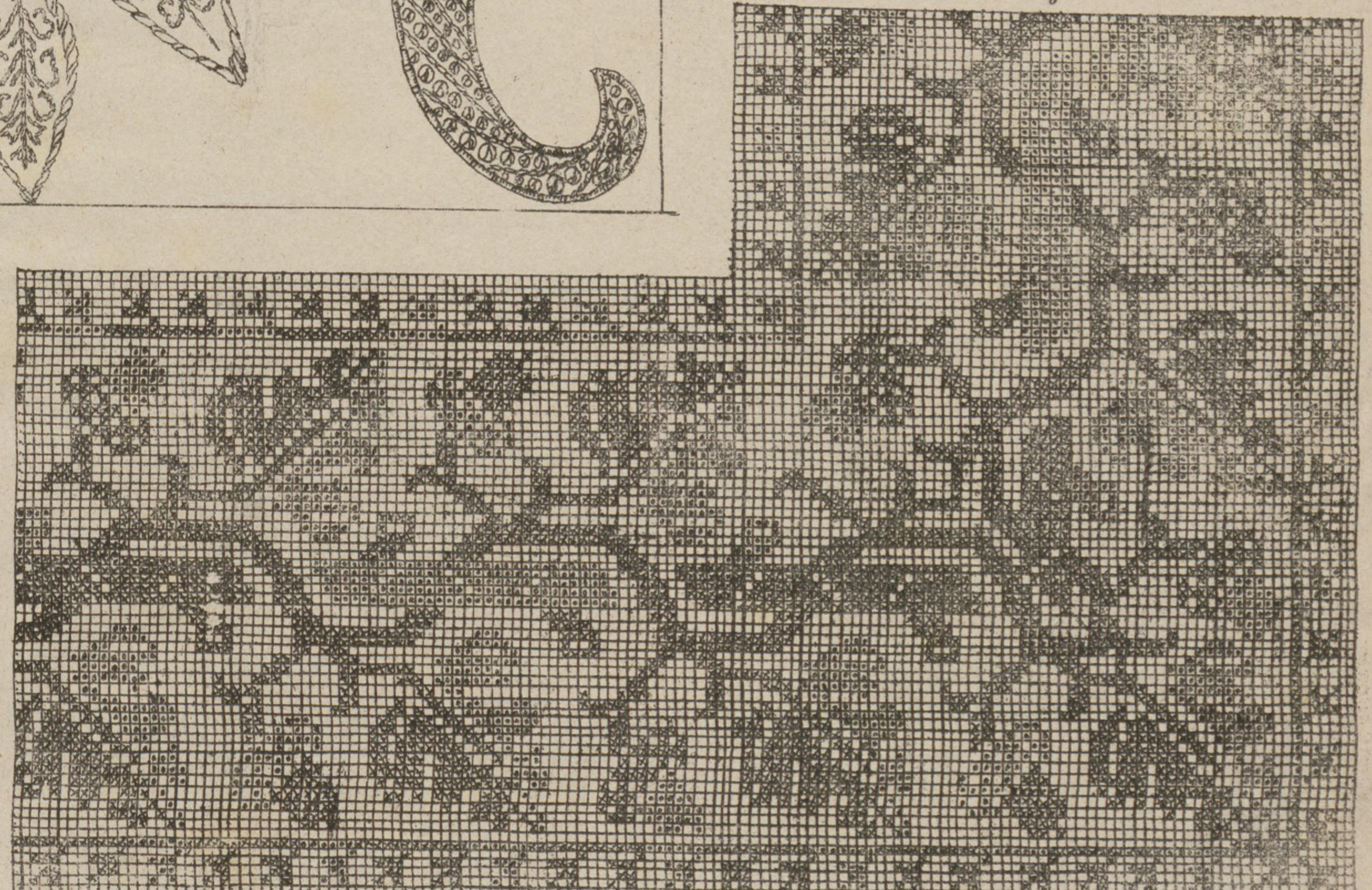
N° 15 Szlak z narożnikiem do ry: 13 w N° 10.



N° 19 Szlak z narożnikiem.



N° [illegible] Szlak z wązkim brzeżkiem w górze



N° 16. Szlak szeroki z narożnikiem